MAREK JAKIMOWSKI.[1]

U Watykańskich stają podwoi
Rycerz i cudnéj urody dziewa,
Rycerz był w ślniącéj odziany zbroi,
W jego zaś ręku buńczuk powiewa.
A w Watykanie siedział na tronie
Papież Paulus, jak gołąb biały,
Siedział w potrójnéj Rzymu koronie,
I obok niego zastęp wspaniały.

Przed ojcem świętym klękają w parze,
Sędziwy starzec im błogosławi,
Potém się pyta i powstać każe,
Więc rycerz taką powieść mu prawi:
„Dziad mój i pradziad z podolskiéj ziemi,
Każdy rycerzem był w naszym rodzie;
Ojciec gdy konał, dłońmi drżącemi,
Dał miecz mi w krwawym, czynnym zawodzie.



Obok książęta stali kościoła,
Uczone mnichy w szarym habicie,
Co nieodsłonią z kaptura czoła,
A pędzą w ostréj pokucie życie.
Wtedy znać dają że Polak z rodu,
Co się odznaczył sławą rycerza,
Wieść z pogańskiego przynosi Wschodu
I składa sztandar u stóp papieża.
Więc Paweł trzeci przed tron go wzywa,
Wchodzi ów młodzian, za nim dziewica,
Jéj światła kosa na szyję spływa,
A jak kalina płoną jéj lica.

I rzekł mi: synu, za prawą wiarę,
Za miłość ziemi co karmi miodem,
Za jéj dziedzictwo wielkie i stare
Masz walczyć mężnie z pohańców rodem,
Ja mu przysiągłem na imie Boga,
Więc kiedy okrzyk rozległ się wojny,
Choć mi bohdanka została droga,
Pobiegłem w pole tym mieczem zbrojny.
Hetman Żółkiewski wiódł nasze roty,
Gdy pod Cecorą stanął wódz stary,
Pokrzepił serca, dodał ochoty,
W piersiach rozniecił ogień ofiary.

[1]) Treść wzięta z prawdziwego zdarzenia.

Więc kiedy wróg nas obległ w około,
A wiarołomni uciekli z pola,
On bisurmanom śmiał stawić czoło,
Nie ważąc jaka czeka go dola.
Taką przed bitwą rzecz on uczynił,
Że z każdém słowem serce nam rosło,
I bił się w piersi, kto w czém zawinił,
Gdy patrzył w męża postać wyniosłą.
Była téż walka wielka i krwawa,
Nad wszystkie męże był nasz wódz stary,
A tak mu drogą zdała się sława,
Jak miłość Boga, kraju i wiary.
Jako las dębów burzą strzaskany,
Złamane naszych walą się szyki,
A jak na okręt skaczą bałwany,
Tak skacze hufiec Tatarów dziki.
Ranny hetmana koń już się słania,
Więc mu innego bracia podali,
A on im na to: cześć mi zabrania,
Ja nie przeżyję blasku méj stali.
Więc bodzie konia, dłoń wznosi prawą,
Raz błyśnie mieczem, co na świat słynął,
Niby meteor pochodnią krwawą,
I jak meteor w tumanie zginął.
Jak zapowiedział, tak téż się stało,
Walczył, jak rycerz co swobód broni,
I jako rycerz poległ téż z chwałą,
Z tarczą i z mieczem płomiennym w dłoni.
Znany jest koniec naszéj wyprawy,
I znana światu walka zacięta,
Kogo oszczędził w boju los krwawy,
Gorsze od śmierci włożył nań pęta.
Mnie wraz z innemi w jassyr zabrali,
Starców i dzieci i dziewek siła,
Do Carogrodu na targ pognali,
Wzięta w niewolę moja téż miła.
W warownéj baszcie, morzeni głodem,
Pod strażą długie liczym godziny,
Jeden z mych stróżów, chrześcijanin rodem,
Był gnuśnym synem greckiéj krainy.
Więc przywabiony ofiarą złota,
Wchodzi ów Greczyn z nami w układy,
On mi tajemne pokazał wrota,
On do bohdanki biegał na zwiady.
Raz wraca od niéj z wieścią wesołą,
Że łódź na morzu na nas już czeka,
A widzę z okna méj miłéj czoło,
I jak powiewa chustką z daleka.
Wychodzim z baszty, z mieczami w dłoni,
Stąpamy cicho... aż straż zatrzyma,
Więc każdy żwawo zażywa broni,
A w noc tę miałem siłę olbrzyma.
Jak walczą z nami, tak padną razem,
Z jękiem na ziemię, z dębów łoskotem,
Gdy pod siekiery runą żelazem;
Więc do bohdanki pobiegłem grotem.
Noc była cudna, noc księżycowa,
Gdyśmy do łodzi z brzegu wskoczyli;
Na mém ramieniu jasna jéj głowa,
A towarzysze wiosła chwycili.
Pomyślny wiatr nam żagle rozdyma,
W mgle Carogrodu baszty już toną,
Drżąca bohdanka dłoń moją trzyma,
Jak róże w maju lica jéj płoną.
Lecim jak ptaki do swego gniazda,
Lecim przez fale ciemnego morza,
Boć nam na niebie błysnęła gwiazda,
Za nią wolności wschodziła zorza.
Nagle nas spłoszył okrzyk sternika,
Patrzę na morze i widzę w dali,
Jak cień, w mgle okręt ku nam pomyka,
I już wyraźnie skacze po fali.
Baczność! zawołam — bracia do broni,
Turecki statek od Carogrodu,
Jak sęp krwiożerczy za nami goni,
Więc nie czekając uderzmy z przodu.
W ucieczce dla nas ratunku nie ma,
Bo ptak ich pędzi wiatrem niesiony,
A ma i siłę i lot olbrzyma,
Utnijmy mieczem mu ostre szpony.
Okręt się zbliżył na strzał rusznicy,
A my ku niemu stanęli czołem,
Jam ścisnął drżącą rękę dziewicy,
Co była w boju moim aniołem.
Ona spogląda w górę nieboga,
I z bólem w sercu jéj duch się zrywa,
Na skrzydłach modłów płynie do Boga,
Gdy do poddania basza nas wzywa.
Znak daję braciom, a za tym znakiem,
Kiedy łódź zwarta z okrętem stoi,
Jakby z nich każdy był lotnym ptakiem,
Tak skoczą żwawo na pokład moi.
Bój był nierówny, jeden na pięciu,
Jeno tak nagle Turczyn się strwożył,
A każdy walczył z nas za dziesięciu,
Że wkrótce z trupów most się ułożył.
Jam pierwszy buńczuk pochwycił w ręce,
Wielbiąc cud Pański z wrogów pogromu,
Korne zasełam modły w podzięce,
I wołam: Bracia! czas już do domu!" —
To rzekłszy, klęka z miłą dziewoją,
U stóp papieża chorągwie składa,
I prawi: „zdobycz oddaję moją,
Boć tę powinność ślub na mnie wkłada.
Przysiągłem Panu, za łaskę cudu,
Że stanę w Rzymie z buńczukiem w ręce,
I przed kościoła głową i ludu,
Ten znak tryumfu złożę w podzięce."
Skończył, a papież połączył parę,
I rzecze, czyniąc krzyż nad ich czołem:
„Rycerz ma walczyć za prawą wiarę,
Niewiasta ma być jego aniołem.
Zacnéj służyłeś sprawie mój synu,
Bóg cię nagrodził sercem dziewicy,
Więc bądź wytrwały na drodze czynu,
A ty prostotę miéj gołębicy."
Potém dał łańcuch mu szczerozłoty,
I rzecze jeszcze: „mój synu miły,
Niech ta pamiątka młodzieńczéj cnoty,
Strzeże twych kroków aż do mogiły."

W. Chomętowski.

WSPOMNIENIA RODZINNE.

(Dalszy ciąg.)

Księżna de Bourgogne, następczyni tronu francuzkiego, tak ubierała swoje panny dworskie, które nazywały się w Wersalu *filles d'honneur*, z tą różnicą, że zamiast kontusika polskiego, nosiły kabat domu austrjackiego, wprowadzony jeszcze na dwór francuzki przez Annę Austrjaczkę. Ubranie to, tak się zdawało ładném pani Krakowskiéj, że mi doradziła użyć go dla moich panien dworskich. W dniach świątecznych i uroczystych, trzech perukarzy francuzów, dnie całe bawili na fryzowaniu moich pań i panien dworskich, co niezmiernie długiego czasu wymagało. Dla tego postanowiłam, że z wyjątkiem wielkich uroczystości i obchodów, zwykłe serkle, assamble i bale, odbywały się w niedzielę i święta. W te dnie z rana, w czasie summy, gdyśmy słuchali nabożeństwa z loży obok wielkiego ołtarza w ścianie wykutéj, panny dworskie śpiewały z towarzyszeniem nadwornéj kapeli, pieśń Boga Rodzicy, Święty Boże, Kiedy ranne wstają zorze, Kto się w opiekę — i inne jeszcze pieśni.

Pań dworskich (respektowych) było ośm. Ich obowiązkiem było znajdować się codziennie na *pokojach* od godziny trzeciéj po południu, która to godzina była obiadową w zamku. Oprócz tego, każda z tych pań miała pewne zajęcie; zwierzchni dozór nad pannami dworskiemi, lub szpitalem, kuchnią, haftarnią, apteczką, ogrodem warzywnym, szatnią. Panie dworskie i dwie panny służbowe siadały u naszego stołu, u którego nie było tak zwanego *szarego końca*, jak to jest w zwyczaju w pańskich polskich domach, gdyż królewic tego nie lubił i byłby bardzo niekontent, gdyby kuchmistrze dawali na półmiskach na stół jego przeznaczonych, mieszaninę lepszych i gorszych kawałków. Z pań dworskich, jedna tylko ochmistrzyni panien, pani stolnikowa Nowogrodzka, nie siadała z nami do stołu, gdyż nieodstępna od swych uczennic, w pawilonie z niemi jadała. Paniami dworskiemi zwykle bywały wdowy po poległéj w wojnach Rzeczypospolitéj szlachcie, bez różnicy stronnictw; były między niemi i majętniejsze starościny, podczaszyny, miecznikowe, które nie uważały sobie za ujmę honoru, zostawać dworsko nie tylko na królewicowskim dworze, ale u hetmanów, dygnitarzy koronnych i senatorów. Nie było téż w Rzeczypospolitéj dworu królowéj, która nie chcąc zmieniać wiary ojców, wraz z małżonkiem swoim koronowaną nie była w Warszawie, w Polsce nogą nie postała i w swojém ulubioném Dreznie siedziała. Bywało zawsze w Polsce, że do urzędów dworskich wielki bywał nacisk. Panowie jeździli do Drezna, aby się kłaniać to o wakujące dygnitarstwo koronne, to o podkomorstwo, lub jaki inny urząd dworski. Panie mniéj zamożne nie mogące jeździć do Drezna, ubiegać się o miejsce damy pałacowéj przy królowéj, przyjeżdżały do *małego dworu* (tak powszechnie dwór żółkiewski zwano) gdzie mniejszym kosztem i bawić się i miejsce znaléźć mogły. Oprócz honorowéj służby, było także w Żółkwi, dwanaście *panien szatnych*, nie występujących na pokoje i dwie lektorki, polka i francuzka, które miały także dozór nad moją prywatną biblioteką i utrzymywały korrespondencję swojską i zagraniczną. Panny szatne, jadały ze stołu tak zwanego marszałkowskiego dla kobiet i były pod kierunkiem pierwszéj panny szatnéj, a zwierzchnim dozorem jednéj z pań dworskich, która jak to było zwyczajem na dworach zagranicznych, nosiła tytuł *damy szatnéj* (dame d'atours.) Panny szatne miały znów pod swoją komendą różne wydziały, do których należały pokojówki (garderobianny), kawiarki, praczki, haftarki, cérownice i inne służące różnego rodzaju i przeznaczenia. Do urzędu *panny szatnéj*, miały pierwszeństwo córki officjalistów, dworskich i niższych stopni wojskowych, oraz tak zwanych *gracjonalistów*, to jest: starych

jeszcze po nieboszczyku królu zostających sług i urzędników, będących u synów jego na tak zwanym łaskawym chlebie.

Dwór męzki w Żółkwi, składał się z czterech podkomorzych czyli po zagranicznemu szambelanów, którzy sprawiali tu urząd *rękodajnych*, znajdujących się na dworach panów polskich. Daléj szli krajczowie, koniuszy, łowczy i sokolnik, tudzież pierwszy szatny, naczelnik paziów, komendant batalionu piechoty nadwornéj i dowódzca gardekurów. Ci panowie należeli do wyższéj szlachty i mieli miejsce u stołu naszego, oraz prawo znajdowania się na serklach, assamblach i uroczystościach. Byli także paziowie starsi i młodsi. Młodszych było dwunastu, płacy, równie jak panny dworskie, nie pobierali i mieli w drugim pawilonie zamkowym szkołę, w któréj wykładane im były stósowne do obranego stanu nauki; dzielili się na oddziały: wojskowy, cywilny, prawniczy. Po czterech latach nauki, zostawali jeszcze przez dwa lata w Żółkwi jako starsi paziowie, poczem królewic z wielką uroczystością pasował ich na rycerzy przypinając szablę do boku; następnie opatrzeni w znaczną kwotę pieniędzy udawali się w różne strony, za granicę, do palestry, do hetmanów, którzy zwykle przyznawali im stopnie officerskie. Niektórzy zostawali szefami i podszefami w gardekurach, lub piechocie nadwornéj. Młodsi paziowie pełnili codziennie po dwóch, służbę na pokojach, a w wielkich uroczystościach, nosili ogon od mojéj sukni. Starsi, których było również dwunastu, do szkoły nie uczęszczali, byli na służbie kolejno dniem i nocą, wysełani z ekspedycjami i ustnemi poleceniami w kraju i za granicą, asystowali konno przy karecie, do świty królewica należeli. Jadali u stołu marszałkowskiego, a w dnie świąteczne i uroczyste mieli wstęp na pokoje, tańcowali, bawili gości i t. p. Byli to urzędowni aspiranci i przyszli małżonkowie panien dworskich, lub potajemni ich czciciele. Dworzanie nasi dzielili się na dworzan płatnych i honorowych. Plenipotent, naczelnik paziów, sekretarz, jałmużnik, doktór nadworny, komendanci piechoty i gardekurów, byli płatni. Do dworzan honorowych należeli: podkomorzowie, koniuszowie i t. p., którzy żadnych nie pełnili obowiązków, często nawet w Żółkwi nie zamieszkiwali, lecz tylko przybywali w czasie uroczystości, przybierali ubiór i barwę domu Sobieskich i mieszali się do świty królewica. Dworzanie polacy nosili strój polski, cudzoziemcy, których kilku zastałam w Żółkwi, mieli na codzień zwyczajne niemieckie fraki z dwiema długiemi połami; w czasie uroczystości takiż sam frak aksamitny granatowy, suto złotem haftowany, na jeden guzik z przodu zapinany, upudrowana w długie pukle fryzura, przy boku mała, poziomo nosząca się, stalowa, złotem wykładana szpada, trójkątny kapelusz z plumażem białym noszący się pod pachą, lub w ręku. Paziowie nosili na co dzień kurtkę, od ubrania mundur huzarski czerwony z złotemi potrzebami i koroną królewską, wyrzniętą na kaszkietach i złoconych guzach. Z największym zbytkiem urządzone było w Żółkwi myślistwo, gdyż królewic na wzór innych panów i udzielnych książąt, wielce w łowach był zamiłowany. Miał osobno urządzony pawilon w zwierzyńcu, w którym mieściła się służba łowiecka, zbrojownia, psiarnia, sokolarnia, mieszkanie dla gości i służby w czasie gonitw. Był to jedyny wydział służby, który urządzać mi nie przyszło, gdyż go zastałam." Tu znów przerywamy opowiadanie Marji-Józefy. Od przyjazdu do Żółkwi, nie przestała marzyć o zbliżeniu do siebie wiernéj swéj przyjaciołki Zofji Leszczyńskiéj, którą pozostawiła w Oławie, odjeżdżając do brata swojego starosty Ostrowskiego. Zofja rok tylko zostawała po odjeździe Marji na zamku oławskim, którego sucha i sztywna etykieta, nie pasowała do jéj serca i charakteru. Należała ona do liczby osób, których żywot i przeznaczenie jednym dobitnym można określić wyrażeniem, *była sierotą*. Zmuszona nieustannie walczyć z siłą wypadków, naciskiem konieczności, wirem cudzych namiętności i namiętnostek, osamotniona w obec świata przywykłego cenić ludzi nie na stopę ich czynów, prac i zasługi, ale według faworów fortuny i kapryśnego losu, (bo świat na początku siedmnastego stulecia, był zawsze tém, czém jest i dzisiaj), biedna Zofja ścigana przez los zawistny, nie znalazła nigdzie dla siebie swobody i spokoju. Z niepospolitemi serca,

duszy i ciała przymiotami, łączyła to wszystko co się zwykle ludziom podoba; była powabna, niezwykle w owym czasie zaniedbania w wychowaniu kobiet, ukształcona, wesoła i dowcipna, kochająca, do wszelkiego rodzaju poświęceń zdolna, ale obok tych zalet, miała znów wady nader dla sieroty niekorzystne, była uczuciową, wrażliwą, lubiła mieć swoją wolę, którą dla żadnego względu i interesu nie poświęciła. Gdy w skutku nieugiętego charakteru znalazła się bez losu i dachu, brat jéj stryjeczny Stanisław, były król polski, u którego rodziców, jak wiemy, chowała się Zofja, zbiegiem okoliczności, z których rachunku zdać sobie nie umiała, dowiedział się o trudném jéj położeniu. Mieszkał on wtenczas we Francji, gdzie się był schronił, zmuszony uciekać z swojego księstewka Dwóch-Mostów, po śmierci wiernego sprzymierzeńca i przyjaciela swojego Karola XII. Z gościnnego tego schronienia, pisał do Zofji, aby przybyła do niego i małżonki jego, jako do najbliższych krewnych, dzielić ich losy i pocieszać na wygnaniu, ale wrażliwa ta natura, mimo potrzeby, a nawet konieczności wezwaniu temu zadosyć nie uczyniła. I któż z nas za tę odmowę, kamieniem na nią rzuci!.. wolała znieść niedostatki, katusze przykrego nader położenia, nędzę samą, niż opuścić na zawsze ziemię rodzinną, którą ukochała nad wszystkie roskosze świata i bez któréj czuła, że żyć nie jest jéj podobna. W skutku téj ofiary, znalazła się więcéj niż kiedykolwiek nieszczęśliwą. Wielorakie bóle, obudziły w niéj chęć wstąpienia do zakonu, ale i tu nowe czekały sierotę zawody i rozczarowania. Klasztor jest miejscem spokoju, modlitwy i pokuty dla istot wyjątkowych, łaską i natchnieniem powołanych i w takim razie swoim wysokim celom i przeznaczeniu odpowiada. Jeżeli uciekamy doń przed światem i jego burzami, jako zbiegi, bez prawdziwego namaszczenia i wyzucia się z pragnień czysto-ziemskich, miasto spokoju i swobody, gorzkie tylko napotykamy rozczarowanie, bo klasztor, jest to mały miniaturowy światek, ze wszystkiemi właściwemi światu wadami i usterkami. Tu, jak tam, są przeciwności, zapory, wielkie i małe konieczności, tu także potrzeba żyć chlebem powszednim ułud, zawodów, potykać się ze złém, tym wiecznym spokoju i swobody wrogiem, bo gdzie ludzie, tam ich wady, niedostatki i potrzeby. Gdy Zofja w ucieczce swéj przed światem, udała się do jednego z wielkopolskich klasztorów, prosząc o przyjęcie do nowicjatu, znalazła tu dla siebie wszystkie serca otwarte, ale klasztor był ubogi, po największéj części z jałmużny żyjący, z nader szczupłemi stałemi dochodami. Wypadało Zofji świetnego pochodzenia, krewnéj króla, połączonéj węzłami pokrewieństwa ze wszystkiemi znakomitszemi w Rzeczypospolitéj rodzinami, przynieść konwentowi łącznie z swoją osobą pomoc i lepszy byt. Nie powiedziano jéj tego wprost, uwag tych, nie podciągnięto pod kategorją warunku, ale zgromadzenie pod wielu pozorami zwłóczyło przyjęcie do nowicjatu. Zofja zostawała w tym stanie niepewności smutna i zniechęcona życiem, gdy stanął przed nią wysłany paź z listem od królewicowéj z Żółkwi. Otwarła pismo, po wielekroć przeczytała, a jeszcze oczom swym wierzyć nie mogła. Marja-Józefa, za poprzedniém małżonka zezwoleniem, zapraszała ją do Żółkwi, w wyrazach pełnych delikatności i współczucia. List i zaproszenie tém bardziéj sierotę zadziwiły, że od chwili, jak ją los i przeciwności ścigały, wszelkie z królewicową przerwała stosunki. Poczciwe to serce, nie widziało w tém wezwaniu, dawnéj koleżanki i przyjaciołki, ani świetnego jéj przeznaczenia, ani osobistéj dla siebie z niego korzyści, ale pole miłości i poświęceń dla téj, którą miłowała całą gorącością pięknéj duszy i czystego serca. Łatwo zgadnąć, że Zofja przyjęła uczynioną jéj propozycję i w tydzień po odebraniu listu znalazła się w Żółkwi, w małéj dla niéj przeznaczonéj komnacie, w pobliżu pokojów królewicowéj, bez żadnego urzędu, wyłącznych obowiązków, jako jéj przyjaciołka, siostra. Królewic z uprzejmością powitał Zofją, przypominała mu najpiękniejsze w życiu jego chwile, piérwszéj miłości dla Marji. W czasie przybycia swojego do Żółkwi Zofję liczyła około lat trzydziestu życia. W tym wieku, ustępują marzenia lat młodzieńczych, przebrzmiewają i uciszają się żądze życia na własny rachunek, a powiększa się potrzeba ściślejszych i bliższych

z krewnymi lub przyjaciołmi związków. Marja-Józefa znalazła w sercu Zofji dla siebie wszystkie połączone uczucia matki i siostry, ta miłość, co to żyje własném zaparciem się, oddaje wszystko co ma i co czuje i nic dla siebie nie pragnie, szczęśliwa, że dar jéj serca, jéj życia, przyjęty został. Ale spotkamy się jeszcze z Zofją i gdzie indziéj, obecnie dokończymy opowiadania dalszego o Żółkwi, jak nam go matka Tekla tradycjonalnie z ust Marji-Józefy, ciotki swojéj przekazała. Według życzenia królewica, goście w każdym czasie i w wielkiéj liczbie zjeżdżali się na zamek, mieli tu swoje oddzielne, w osobnéj przyległéj zamkowi officynie mieszkanie, dworzan, służbę, powozy i zaprzęgi. Bywały wypadki w czasie wielkich zjazdów, że się pomieścić nie mogli, zajmowano dla nich niektóre zamkowe komnaty, bibljotekę, zbrojownię, lamus i skarbiec, a nawet mieszkania dworskich i officjalistów. Cudzoziemcy po największéj części posłowie zagraniczni, ich świty, uczeni i artyści, licznie przyjmowani byli, a ostatni hojnie udarowani, a nawet niektórzy dożywotnią pensją wynagradzani bywali. Przywileje gości były wielkie, życie dla nich łatwe, wygodne i przyjemne. Królewic Konstanty, jedyny z trzech braci, który nie odziedziczył manji zbieractwa, taki cień rzucający na ostatnie lata panowania Jana III, bądź z własnego natchnienia, bądź téż pod łagodnym małżonki wpływem, godnie używał wielkich dochodów, wyłącznie jemu i księciu Jakóbowi, przez śmierć królowéj matki i królewica Aleksandra, w spadku przeznaczonych. Etykieta w Żółkwi lubo królewska, nie była śmiesznie wymagająca. Każdy szlachcic, choćby nie pochodzący z hetmańskiéj, lub senatorskiéj rodziny, byle miał jakieś w Rzeczypospolitéj zasługi, znaczenie, bezpłatny urząd, bywał przyjmowany na pokoje, serdecznie ugoszczony i na długo częstokroć zatrzymywany. Każda z przyjezdnych rodzin, miała do swego użytku mieszkanie z kilku komnat złożone, zbytkownie w makaty, obrazy, lustra i t. p. sprzęty strojne. Gdy gość przyjeżdżał, służbowy szambelan, niby mistrz ceremonji, przyjmował go w przeznaczoném dla niego mieszkaniu, gdzie go téż zostawił, aby użył wywczasu i tyle po podróży potrzebnego wypoczynku. Dnie całe przyjezdny miał wolne; śniadanie i obiad przynoszono mu do domu, w bogatych zamkowych nakryciach; czas mógł dowolnie przepędzać u siebie, w przechadzce po pięknym parku, lub na wzajemnych z innemi gośćmi i mieszkańcami zamku odwiedzinach. Gdy zapragnął w samotności, lub liczném towarzystwie, dalszą w okolicy odbyć przejażdżkę, sześcio-konna kareta z mastalerzem, koniuszym i hajdukami, zajeżdżała na jego żądanie [1]). Reprezentacja w Żółkwi, fety, serkle i assamble, miały miejsce w wieczornéj porze, a z niemi strój dworski i wszelkie wymagania etykiety przez zwyczaj na dworach panujących przyjęte. Pod tym względem królewic był tém więcéj wymagającym, a może drobiazgowym, że czuł wewnętrznie, że rodzina jego przez wybór innego monarchy wiele z przywilejów swoich utraciła. Przymus i surowość etykiety Marja-Józefa starała się łagodzić, już, jak powiedzieliśmy, przez pozostawienie swym gościom cało-dziennéj wolności, już przez wynajdywanie im przyjemności i rozrywek, w czasie wieczornych zebrań. W lecie używano przejażdżki konno i w pojazdach, lub na zamkowym kanale na czółnach strojnych w wstążki i kwiaty, na których

[1]) Nie wiem, czy obecne nasze pokolenie, do skromności i bezludnych dworów dzisiejszych panów polskich przywykłe, zdoła sobie wyobrazić wspaniałość, okazałość i bogactwo ich przodków. W obec ich dworów, dwór w Żółkwi, a nawet Augusta II w Dreznie i w Warszawie, do nader skromnych liczyć się mogą. Czytam w Niesieckim, że marszałek księcia na Ostrogu Ostrogskiego, miał przeszło siedmdziesiąt tysięcy złotych rocznéj pensji, licząc na dzisiejszą monetę. Dwa tysiące młodzieży szlacheckiéj, było utrzymywanych na dworze tego magnata. Lew Sapieha, wysłany przez Władysława IV, dla przyjmowania na granicy Rzeczypospolitéj, przybywającéj z Francji, powtórnéj małżonki jego, Ludwiki-Marji Mantuańskiéj, był otoczony czterma tysiącami ludzi, t. j. swoją zwyczajną świtą. Według dziennika marszałkowéj de Guébriant, mającéj charakter i przywileje nadzwyczajnego posła Francji, przy oddawaniu księżniczki królowi polskiemu, marszałek wielki koronny, Stanisław Lubomirski, trzymał na swym żołdzie, armję z sześciu tysięcy ludzi, która to liczba, w czasie wojen Rzeczypospolitéj, do dziewięciu tysięcy dochodziła. Przyjaciel od serca Jana III, Stanisław Jabłonowski kasztelan krakowski, przyprowadził królowi, gdy

ukryta muzyka przygrywała. Zbierano się na podwieczorki w zwierzyńcu na murawie, lub pod namiotami czasy hetmana Żółkiewskiego pamiętającemi. Jesienne i zimowe wieczory, skracane bywały przez tańce, koncerta i bardzo w owym czasie przez starszych nawet ulubione, gry biegające. Na początkach ośmnastego stulecia, gra w karty nie była upowszechniona i lubo jeszcze za Zygmunta III, Skarga piorunował z kazalnicy na graczów i w Volumina legum, wspominają także o hazardownych grach, za czasów Augusta II z trudnością można było znaleść karty na dworach panów i zamożniejszéj szlachty, która się niemi brzydziła, jako zabytkiem *niemieckich obyczajów*. Tak zwane polskie gry, jak kasztelan, drużbart, kalabrak, marjasz, ćwik i t. p. od r. 1740 dopiero w powszechniejszy weszły u nas obyczaj. W Żółkwi, w czasie od r. 1720 do r. 1727, królewic idąc za przykładem zagranicznych dworów, ustanowił tak zwane *jeu*, t. j. urzędowe odegranie trzech robrów wersalskiego wista, co więcéj było formą etykiety, niż rzeczywistą rozrywką. Z liczby zabaw umysłowych, jedne tylko szachy znane były. W epoce Jana-Kazimierza i Jana III, Rzeczpospolita napadami sąsiadów i obroną granic zajęta, nie znała prawie życia towarzyskiego, a z niego rodzącéj się potrzeby *zabicia czasu* urozmaiconemi rozrywkami. August II, po powrocie swoim do Polski, w celu zaskarbienia sobie miłości Polaków, umyślił ich bawić, a w liczbie innych zabaw i o reprezentacjach scenicznych nie zapomniał. Sprowadził z Drezna operę włoską, która dwa razy na tydzień za bezpłatnemi biletami odgrywała słabe ówczesnego skażonego gustu kompozycje. Te przedstawienia nie znalazły amatorów w łonie niższéj szlachty, która, jak mówiła, nie rozumiała włoskich trylów i przekładała dobrego, wytrawnego węgrzyna od obnoszonych przez dworską służbę zagranicznych, a czczych chłodników. Wolała uczęszczać na polskie przedstawienia tak zwanych djalogów, odgrywanych przez żaków szkolnych na przedmieściach Warszawy, lub w czasie jarmarków i odpustów po małych miastach i miasteczkach. Tu jaskrawe sceny dramatów, jak walka Dawida z Goljatem, zabicie Holofernesa przez Judytę i t. p. wywoływały kolejno w widzach łzy żalu i współczucia, śmiech, zaciekawienie i trwogę, co więcéj przypisać należy, pobłażliwemu usposobieniu widzów, jak wytrawnemu talentowi aktorów-artystów. Obok tych przedstawień, Jezuici znów w kolegjach swoich, bawili rodziny swych uczniów początkowemi próbkami poczynającéj się polskiéj sceny, które bawiły wykształconych widzów, nie tyle sztuką, jéj osnową, jak przesadą, niezgrabnemi ruchami, brakiem pamięci i zakłopotaniem artystów. W epoce Augusta II, ogół ziomków naszych nie znał prawie sceny tak, jak my ją dziś pojmujemy. Marja-Józefa przez lat siedm swojego z królewicem pożycia, nie miała czasu na utworzenie włoskiéj opery, lubo potrzeba téj rozrywki, wzmagała się z coraz bardziéj wzrastającą liczbą gości, z Drezna i Warszawy przybywających. W jéj braku zabawiano się, jak to i dziś bywa na wsi, gdy litareckie, muzykalne i polityczne nowostki nie dopiszą, drobnemi towarzyskiemi ploteczkami, lekkiém głośném, lub na ucho wzajemném obgadywaniem się, polskiém ulubioném kojarzeniem małżeństw, a gdy sposobność się nadarzyła u marszałkowskiego stołu, do którego i goście uczęszczali, nowo zjawiającą się, na wzór króla,

szedł na odsiecz do Wiednia, trzy tysiące własnego żołnierza i cztery tysiące hajduków, kozaków, strzelców, sokolników, dworzan i dworskich różnego gatunku, co dochodziło do okrągłéj liczby siedmiu tysięcy ludzi. Starowolski opowiada, że biskup krakowski, Tomicki, podzielił młodzież, będącą w jego służbie na trzy kategorje; najubożsi, uczęszczali do wyłącznie przeznaczonéj im szkoły w biskupim pałacu w Krakowie istniejącéj, możniejsi tworzyli świtę biskupa i słuchali wykładu nauk w szkole głównej, trzecia kategorja składała się z najzdolniejszych, wysyłanych jego kosztem za granicę. Za panowania obu sasów, dwory Branickich w Białymstoku, Zamojskich w Szczebrzeszynie, Radziwiłłów w Nieświeżu, prymasa w Skierniewicach, hetmanowéj Sieniawskiéj w Sieniawie i Willanowie, Ogińskich w Siedlcach, Czartoryskich w Puławach i bardzo wielu innych, liczbą i wspaniałością tamtym nie ustępowały. W każdym czasie, te wielkie armje i dwory, były na usługi Rzeczypospolitéj, służyły bezpłatnie ku obronie jéj granic; w czasie pokoju, zapewniały podupadłéj szlachcie uczciwy przytułek, a dla synów ich i córek przyzwoite wychowanie i los całego życia. Były i ztąd nadużycia, ale czegoż ludzie nie nadużyją?

pijatyką. Te i t. p. nadużycia, nie zawsze odbywały się z wiedzą królewicowéj; patrzała się też czasami przez szpary na nie, aby nie zamącić swobody gości i dworzan, którym chciała, ile mogła, uprzyjemnić pobyt na zamku. Obok wrodzonéj jéj starodawnéj i polskiéj gościnności, nie małym też dla niéj było bodźcem, tajemne współzawodnictwo królewica z dworem Augusta. W czasie bytności króla w Warszawie, już to z powodu zjazdów sejmowych, rady senatu, uroczystości i zabaw, które za nim trop w trop biegły, już też przez bojaźń narażenia się monarsze, liczba uczęszczających do Żółkwi gości, widocznie się zmniejszyła. Bywały też wypadki, że dworzanie żółkiewscy, przechodzili bez pozornych nawet powodów w służbę króla, emigracje te, mocno nieukontentowały królewica, który widział w tym złą wolę Augusta i chęć tajemną prześladowania jego osoby. Do tego pamięć przeszłości, pojmanie go i osadzenie w twierdzy, żywo jeszcze w sercu księcia tkwiły i nastręczały przekonanie, że król w danym razie, nie byłby daleki od powtórnego targnięcia się na jego wolność. Postępowanie Augusta mogło bardzo w podejrzeniach tych, syna Jana III utwierdzić. Zamek otoczony był szpiegami, którzy donosili o każdym kroku i poruszeniu jego mieszkańców, a ostrożność ta podwajała się jeszcze w czasie większych w Żółkwi, panów i szlachty, zjazdów, w których August widział tajemne spiski i knowania. Lubo na szpiegach nie brakło mu i mógł ich dowolnie znaleźć w gronie cudzoziemskiéj królewica służby, miał on inne jeszcze sposoby dowiadywania się o wszystkiém co zajść mogło w Żółkwi. I tak miał zwyczaj, bądź w Dreznie, bądź w Warszawie, bardzo zręcznie, pod maską troskliwości o zdrowie królewicowstwa, wypytywać się przybyłych z Żółkwi, których na oko bardzo dobrze przyjmował, o szczegóły tyczące się ich pierwotnego życia.— Pułk saski dragonów królowéj, wracając z Podola, zawadził r. 1719 o Żółkwię i jakoś niesporo mu było dalszym ku Saksonji ruszyć pochodem; przed śmiercią królewica w lipcu r. 1727 wypadłą, jeszcze się tu znajdował; dowódzca jego, jenerał Brandstein, dostał rozkaz częstego odwiedzania królewica w zamku i oddawania mu królewskich honorów. W dniach uroczystych imienin księcia, jego małżonki, nowego roku i innych, cały pułk z sztandarem i muzyką, w galowych czerwonych z czarnemi wyłogami mundurach, na pysznych koniach karych występował, z paradą przed zamkiem przeciągał, a towarzyszące mu armaty, w liczbie dwunastu, dawały się słyszeć poważnym grzmotem, mającym w sobie coś dziwnie do groźby i gniewu podobnego. Królewic przywykły do podstępów Augusta, nie dziwił się wcale tym manewrom, ale otoczył się swoją piechotą i gardekurami, których liczba do tysiąca ludzi dochodziła i był na każdą ze strony sasów zasadzkę przygotowany. Mimo téj ostrożności, grzecznie ich w zamku przyjmował. Jenerał Brandstein, wzywany był w niedzielę na zebrania, a w czasie większych zjazdów wraz z swemi officerami, których sztywne, wymuszone postacie i dobroduszna śmiesznością trącąca uprzejmość, były celem żartów i figlów dla paziów i innéj dworskiéj młodzieży.

Zawistne wszakże intrygi Augusta, nie zawsze w zupełności się udawały. Przez ostatnie lat siedm życia królewica Konstantego, dwór jego w przepychu i liczbie, nie ustępował prawie dworowi w Warszawie, Dreznie i Pilnitz. Panowie koronni i litewscy oddający tu swe służby królowi, nie zaniedbywali przynajmniéj raz do roku, odwiedzać syna ostatniego króla, w którym nie jeden zapewne potajemnie upatrywał przyszłego tronu dziedzica. W liczbie uczęszczających do Żółkwi, oprócz pani hetmanowéj Sieniawskiéj, która zwyczajnym tu bywała gościem, widywano najprzód jéj córkę, panią wojewodzinę Połocką, wdowę po Stanisławie Denhoffie [1]) jednym z najzamożniejszych panów ziemi pruskiéj, synowcu kardynała i kanclerza wielkiego ko-

[1]) Rodzina hrabiów Denhoffów, dotąd istniejąca w Prusach, przeszła do Polski w jednéj swéj linji i tu w Stanisławie Denhofie wygasła. Stanisław wojewoda Połocki, był synowcem słynnego Jerzego Denhoffa, który popadł w niełaskę Jana III, dla tego, że będąc w Rzymie, w towarzystwie Radziejowskiego przyszłego prymasa, a wówczas biskupa warmińskiego, wyniesiony został przez papieża Innocentego XI, bez woli i wiedzy króla, na kardynalstwo, kiedy Radziejowski jedynie, głowie kościoła na to dostojeństwo zalecony został. Sejm

ronnego Jerzego Denhoffa, po którym ogromny odziedziczył majątek. Pan wojewoda, wiekiem mógł być ojcem swojéj małżonki; do tego miał trudną wymowę, był wcale nieudatny, ale chciwość i duma pani Krakowskiéj, zdołały te wady zatrzeć i małżeństwo mimo widocznéj panny niechęci, przyszło do skutku. Wkrótce po ślubie Denhoff umarł, zostawiwszy żonie cały swój majątek, a pierwszéj w kraju młodzieży szerokie pole, do starania się o rękę młoca, oddała swą rękę młodemu, walecznemu i dzielnemu Augustowi Czartoryskiemu, znanemu w dziejach wojewodzie ruskiemu. Pani Krakowska od młodości swojéj, żyła w stosunkach serdecznéj przyjaźni z matką księcia, księżną kasztelanową Wileńską, która rozumem, wiedzą i dowcipem, była przedmiotem podziwu i uwielbienia dworu Ludwika XIV i zyskała sobie tam tytuł *najuczeńszéj z kobiet i polek.* Księżna kasztelanowa, Morsztynówna z domu, rzuciła



W lecie na zamkowym kanale na czółnach strojnych w wstążki i kwiaty używano przejażdżki.

déj i bogatéj wdowy. Zofja lat kilka nie mogła się zdecydować na zawarcie powtórnego związku; w końcu na usilne matki nalegania, a idąc może za skłonnością serpierwszy blask na dom książąt Czartoryskich, tak przez osobiste zalety, jak też przez wpływ swój na wychowanie synów, a przez to może i na losy narodu. Długie przebywanie w Wersalu, na dworze monarchy, który dał się słyszeć z temi słowy: *la France, c'est moi,* wzbudziło w niéj chęć zastosowania zarządu monarchji dziedzicznéj do rządu w Rzeczypospolitéj; urzeczywistnieniu téj idei, wszystkie swoje siły i macierzyńskie starania poświęciła. Przyszłość okazała że jéj nauki i zabiegi, zupełny na synach odniosły skutek, szkoda

w celu pomszczenia powagi i przywilejów monarchy, a nie narażania na przyszłość skarbu Rzeczypospolitéj na koszt utrzymania dwóch na jeden raz kardynałów, wydał konstytucją, zabraniającą duchownym polskim, bez pewnéj wyjątkowéj missji lub potrzeby, kształcenia się i bawienia w Rzymie. We dwa lata po konferowaniu kapelusza kardynalskiego Denhoffowi, dobry Jan III, zapomniał urazy i wyniósł go na konieczne naleganie królowéj, na kanclerstwo wielkie koronne. (Przyp. aut).

tylko, że ta dziwnie wyjątkowa u nas kobieca postać, nie zjawiła się o jakie dwa wieki wcześniéj na horyzoncie politycznym kraju naszego. Pani Krakowska bawiąc w Paryżu, poznała się bliżéj i pokochała z księżną kasztelanową, a nawet dwie te panie, charakterem i wyobrażeniami do siebie zbliżone, w przewidywaniach odległéj przyszłości, przyrzekły sobie że połączą swe dzieci, jeżeli wzajemne młodych skłonności, nie staną widokom matek na przeszkodzie. Od owego czasu, wiele jak to mówią wody upłynęło. Pani Krakowska, wróciła do kraju i w wirze interesów osobistych i politycznych, o tyle o przyrzeczeniu daném księżnie zapomniała, że w lat siedm Denhoffowi rękę jedynéj córki ofiarowała. Ale serca młodych nie tak łatwo zapominają, jak zbyt daleko posunięta starszych przezorność. Postać dwunastoletniéj Zofji, jéj świeża twarzyczka, wyraziste oczy, wyryły się w pamięci młodego księcia Augusta. Przyrzekł sobie że gdy wróci do kraju, żadna inna, tylko Zofja Sieniawska żoną jego będzie. Dowiedział się prawie jednocześnie, o jéj zamęźciu i owdowieniu; zazdrość, usposobiła go do ostateczności i spokojne zrazu uczucie, zamieniła w gwałtowną namiętność. W niecierpliwości widzenia przedmiotu pierwszéj miłości, nie pozwolił aby czas wdowieństwa, przez prawo i zwyczaj naznaczony przeminął i w pół roku po śmierci wojewody Połockiego, pod pozorem dawnych łączących dwa domy stosunków, stanął w progach pani wojewodziny, przedstawiając jéj się, jako dawny jéj znajomy i przyjaciel. Właściwa pani Krakowskiéj przenikliwość, odgadła od razu cel tych odwiedzin; nie mając nic przeciw dawno uprojektowanemu związkowi, nie miała powodu mu się sprzeciwiać i najuprzejmiéj, a nawet serdecznie księcia w Sieniawie przyjęła. Pierwsze widzenie Zofji, po ośmiu latach niewidzenia, musiało wielkie w sercu kawalera wywołać wrażenie. Z dwunastoletniéj dziewczynki, wyrobiła się pełna wyrazu, uroku, więcéj nizkiego, jak wysokiego wzrostu, ale nader zręczna i powabna postać dwudziestoletniéj kobiety, w całéj pełni młodości i rozkwitających wdzięków. Oko promieniejące życiem, lica cudnéj świeżości, a do tego wielkie i słynne nazwisko i trzy olbrzymie fortuny, (bo Zofja była jedyną spadkobierczynią po ojcu Sieniawskim, matce Lubomirskiéj i mężu Denhoffie) ileż to w jednéj osobie, ileż to powodów do szalonéj miłości, w głowie młodzieńca ośmnastego wieku, w którym miłość nie była jeszcze w rzędzie towarzyskich śmieszności, jeżeli nie zbytkowych towarów, policzoną?... Dodajmy do tego, że Zofja była wdową, a wdowy po wszystkie czasy, mają przywiléj odgrywania pewnéj roli w romansowych zeszłowiecznych, a nawet dzisiejszych przygodach. Krótko mówiąc, książę August przy tém powtórném poznaniu, naprawdę się w wojewodzinie zakochał, a lubo bardzo udatnéj powierzchowności, nie prędko wzajemnością wynagrodzony został. Pani wojewodzina dla nierówności wieku, nie bardzo z pierwszym mężem szczęśliwa, bała się wejść w powtórne związki małżeńskie, a przynajmniéj, chciała czas jakiś użyć wolności stanu wdowiego; długo utrzymywała księcia w niepewności i dla tego wielu starającym się o jéj rękę, pierwszym w Rzeczypospolitéj panom, ani wprost odmawiała, ani ich zachęcała. Takie manewra, musiały koniecznie wzbudzić rozpacz i zazdrość zakochanego; dwór żółkiewski, liczne w nim zjazdy i uroczystości, były polem tych miłosnych harców. Miejscowe tradycje mówią o licznych pojedynkach, zawziętych nienawiściach i zemstach, psich figlach, wzajem sobie wyrządzanych, przez współzawodników do ręki bogatéj wdowy, to znów o niespodziankach i łamanych na jéj cześć kopjach. Królewicowstwo nie gniewali się na te romansowe przygody; były one w duchu czasu, a nie raz celem lub pozorem bankietów i zjazdów, powodem nadzwyczajnych wypadków i zdarzeń, zawsze zaś bodźcem do silnego zainteresowania ich gości i urozmaicenia im życia.

Oprócz pani hetmanowéj, pani wojewodziny i licznego grona jéj czcicieli, częstemi w Żółkwi gośćmi, byli: książe Michał Czartoryski, starszy brat Augusta, świeżo na podkanclerstwo litewskie wyniesiony, pan chorąży koronny Branicki z Białegostoku, panowie: Lubomirski wojewoda krakowski, Szembek, kanclerz wielki koronny, z żoną Sanguszkówną z linji Lubartowskiéj. Książę Radziwiłł kanclerz

wielki litewski z małżonką, Ożarowski oboźny koronny, Radomicki generał wielkopolski, wierny Augusta stronnik i przyjaciel, Przependowski wielki podskarbi koronny, który intrygami swojemi i zabiegami, przygotował pierwszą Augusta elekcję. Z posłów zagranicznych, odwiedzali Żółkiew: następca nieodżałowanéj pamięci Grimaldego, monsignor Santini, wprost przeciwną od swojego poprzednika w Rzeczypospolitéj odgrywający rolę, waśniąc Stany i króla z głową kościoła. Moroni poseł francuzki, który raz tylko był w Żółkwi, gdyż w czasie największych tu zjazdów umarł. Poseł austrjacki Sekendorf, syn, czy synowiec kanclerza nadwornego Leopolda, o którym na początku tych wspomnień była mowa. Niemiec odwiedzał regularnie Żółkiew dwa razy do roku, pod pozorem znajomości i powinowactwa, łączącego jego rodzinę z domami Wesslów i Starembergów, a naprawdę z rozkazu pana swojego cesarza Karola VI, w ewentualności nowej w Polsce elekcji. Często powtarzane odwiedziny trzech wrogów książąt Sobieskich, Radomickiego, Przependowskiego i Sekendorffa, nie były bez pewnego celu i wymagań ich polityki. Niespodziany traf, przysposobił im nowy do podejrzeń i troski powód. Marja-Józefa w pierwszym roku pobytu w Żółkwi, miała nadzieję zostać matką. Jakież pióro zdoła opisać szczęście i radość królewica?... Myśl, że będzie ojcem, że zostawi potomka świetnego rodu, zmieniła w jednéj chwili jego charakter, usposobienie i politykę. „Dotąd, (mówiła Marja-Józefa), widziałam w królewicu rozczarowanie, zniechęcenie, żal za przeszłością i pewność, że się *ona* nie wróci i wrócić nie może. To przekonanie spowodowało w nim zupełnie zaniedbanie praw rodziny jego do tronu i pewne lenistwo, w wynajdowaniu środków, mogących je przywrócić. Życie trawił na polowaniu, zabawach, płonném i bezmyślném wynajdowaniu sposobów, utrzymania się na czczém stanowisku księcia domu królewskiego, bo innego nie pragnął. Gdym mu zaś radosną objawiła nowinę, cudowna w nim zaszła zmiana. Stał się roztargnionym, zamyślonym, zamknął się w bibliotece, a na drugi dzień przed świtem, wysłał pazia z listem do Olawy. Przez cały ten dzień siedział zamknięty, wertując jak późniéj przekonałam się, stare dzieła treści strategicznéj i politycznéj. Królewic z natury nie był skryty, często wywnętrzał się z swych myśli i wrażeń, gdy byliśmy sami, nie zdawał się mieć żadnéj dla mnie tajemnicy. Od chwili, gdy mu stan mój objawiłam, milczał upornie, sądzićby można, że lękał się czy mury nie mają uszu do słuchania, powietrze ust do wypowiedzenia tajemnych jego życzeń i zamiarów, bał się własnych swoich wspomnień, chęci i nadziei. Szanowałam to usposobienie i niczém nie dałam poznać, że je dostrzegam lub odgaduję. Przyszła odpowiedź z Olawy, królewic Jakób pilnował małżonki, która już chorowała na niemoc, mającą ją w rok późniéj zabrać z tego świata. Uradowany z nadziei synowca, napisał do mnie list pełen uprzejmych wyrazów i przysłał mi w darze bogaty djamentowy naszyjnik. Nie długo trwało upojenie nasze!... W kilka miesięcy, przyszedł na świat syn nieżywy.... nieszczęśliwa matka, musiałam pocieszać zrozpaczonego ojca... We dwa lata późniéj, powtórnie zostałam matką. Tą razą, dziecię w kilka godzin po urodzeniu umarło w strasznych konwulsjach... Nie było mi wolno również zapłakać nad tą stratą. Królewic, ofiara okrutnego zawodu, przez dwa miesiące był między życiem i śmiercią, musiałam tłumić najsroższą z boleści, boleść matki, aby ratować go i pocieszać z uśmiechem na ustach. W następującą wiosnę, zdrowie królewica polepszyło się o tyle, że mógł znieść podróż; lekarze wysłali go do Karlsbadu, którego źródła uzdrawiające nie dawno odkryto. Wybraliśmy się pod cudzém nazwiskiem z małym pocztem sług i dworzan. W powrocie, jechaliśmy przez Wrocław, gdzie dowiedzieliśmy się o zaszłéj śmierci księżnéj Jadwigi Eleonory w Wiedniu i przyjeździe jéj małżonka do Olawy, gdzie zboczyliśmy na dni kilka, aby go po tak dotkliwéj pocieszyć stracie. Po powrocie do Żółkwi, uważałam że zdrowie królewica, miasto poprawy widocznie się pogorszało, oprócz fizycznych boleści, moralnie srodze cierpiał; z utratą nadziei zostania ojcem, stracił także jedyny cel życia, starań i zachodów, wszystkie dawne plany ustąpiły, pozostały

w zamian nuda, smutek, zmienność humoru i melancholja. Na próżno starałam się zwrócić myśl jego i pamięć do weselszéj przeszłości, do dawnych rozrywek, jak n. p. łowy które namiętnie lubił. Na oko nic się w Żółkwi nie odmieniło: zjazdy, zabawy, uroczystości, na konieczne królewica żądania szły dawnym trybem, z tą różnicą tylko, że zamknięty u siebie, żadnego w nich nie brał udziału. W czasie obu moich słabości, podejrzliwy August podwoił czujności; po stracie mojego dziecka, wewnętrznie ucieszony, że nadzieje nasze tak boleśnie zniweczone zostały, pisał z Drezna do bawiącego w Warszawie feldmarszałka Fleminga, list polecający mu złożyć królewicowi w Żółkwi, w jego imieniu zapewnienie żalu i współczucia z tak dotkliwego wypadku. Fleming był ten jeden raz w zamku przyjęty z uprzejmością i względami przynależnemi posłannikowi królewskiemu. Nie podobał mi się ten dygnitarz, miał w oczach jakiś wyraz obłudy, który mimo wytwornego układu, drobiazgowéj i zbytniéj uniżoności, pochlebstw i komplementów, odpychał od niego. Był to istny dworak, nosił mundur jakiegoś austrjackiego pułku, którego był honorowym pułkownikiem dla tego jedynie, aby się podobał królowi, który od młodości służył w wojsku austrjackiém, dwie kampanje, Siedmiogrodzką i Flamandzką w niém odbył i lubił się otaczać wspomnieniami minionéj przeszłości. Wszakże Fleming miał rzadką w podobnych jemu zaletę, kochał szczerze, namiętnie króla, w którym upatrywał wszystkie cnoty i przymioty bohatéra i wielkiego człowieka, lubił o nim mówić, rozpowiadać szczegóły jego życia i wojennych wypraw, starannie pomijając ciemne i mętne dyplomatycznych jego zabiegów ustępy — i nie dziw, gdyż sam nie mały w nich brał udział. Cztéry dni które Fleming bawił w Żółkwi, były jedne może z najprzykrzejszych i najtrudniejszych, które w życiu przepędziłam. W głębokim smutku po stracie dziecka, musiałam zajmować się człowiekiem, który gotów był uchwycić za każde słowo i zgubnie dla nas go tłomaczyć, lub przekręcić, aby się królowi przypodobać. Wiedzieliśmy ze smutnego doświadczenia, że August i jego stronnicy na wszystko są gotowi gdy idzie o dopięcie zamierzonego celu. Królewic osobiście nie lubił Fleminga, widział we wszystkich jego i pana jego mowach i czynach, zdradę i podstęp, unikał przeto wszelkiéj rozmowy, był milczącym, ponurym i zamkniętym w sobie, rzadko się pokazywał na pokojach i zostawiał mi cały ciężar bawienia ministra królewskiego. Żałoba nie pozwalała uciekać się do zabaw, tańców, łowów, zwykłych sposobów, do których się panujący i dyplomaci uciekają, by uniknąć potrzeby wielomówstwa. Ranki całe feldmarszałek trawił na mustrowaniu drabantów królowéj, pozostałe jeszcze godzin kilka dnia, trzeba było strawić na rozmowie, któréj przedmiot z trudnością wynajdywać przyszło. W kłopotliwém mojém położeniu, szczęśliwie spostrzegłam że ulubionym przedmiotem rozmowy Fleminga był król, jego dwór, zwyczaje i t. p. słuchałam więc jego opowiadań, szczęśliwa ilekroć mogłam sama nie wiele mówiąc, częstemi pytaniami, podsycać opowiadającą gościa mojego żyłkę. Na pozór Fleming w prywatném życiu, nie był wcale podobnym do Fleminga ministra i dyplomaty. Miał on w powierzchowności niemiecką dobroduszność, łatwość w rozmowie i obcowaniu, ledwie nie gadatliwość człowieka światowego. Słynny jego rozum i dyplomatyczna przebiegłość, spostrzegać się dawały w oczach, których wyraz i przenikliwość, wielkie na mnie wywierały wrażenie, przypominając milczenie i ostrożność. Uwielbiałam w nim także wstrzemięźliwość języka, która w natłoku myśli i wyrazów, nigdy nie przechodziła granic potrzeby i ostrożności. Czwartego dnia wieczorem, minister pożegnał nas, mając tejże saméj nocy wyjechać z powrotem do Warszawy; gdy usłyszałam turkot jego kolasy, odetchnęłam... och! jakże okropne były dla nas dowody uprzejmości Augusta!...

D. c. n.

KILKA SŁÓW O KRÓLOWĖJ BARBARZE.

Dajemy tu wizerunek kobiety, jednéj ze znajomszych ogółowi, nawet wśród tych, na których głowie świeciła korona, a na którą miłość jéj królewskiego małżonka rzuciła tak pełen poezji urok, że w nim pisarze i artyści nie przestają czerpać natchnienia. W Wilnie swym dramatem Odyniec, w Warszawie Simmler obrazem z przejmującą prawdą nakreślonym, wznowili niedawno czarujące wspomnienie Barbary. Czar ten wszakże wieje nie tyle od jéj postaci, ile od uczuć, jakie wzbudziła. Kollizje tych uczuć postawiły króla Zygmunta-Augusta w starciu z opinią możnowładców i z zajęciem przypatrujemy się epizodowi dziejowemu, któremu to starcie za temat służy, a wczesna śmierć owéj pięknéj ukochanéj pozostawiająca nam ostatniego Jagiellona tak złamanego na duchu, do głębiéj nas rozrzewnia. Cóż bowiem wiemy o przymiotach Barbary? — nic nadzwyczajnego, ale wielkie kochanie jakie wzbudziła, otoczyło jéj pamięć tak świetną aureolą, że się niemal gniewamy na każdego szperacza historycznéj prawdy, co śmie na jaw wywieść jaką jéj stronę ujemną. Obraz Simmlera przedstawiający króla zrozpaczonego nad zwłokami żony, całemi godzinami zatrzymywał przed sobą i nie jedna łza zawisła u powieki patrzących, a zaiste nie wywołały jej zasługi Barbary, lecz raczéj okrutna fatalność śmierci rozdzielającéj dwie istoty, zda się, dla siebie stworzone, ten straszny mrok rozpaczy zalegający duszę pozostającego, mrok na który już nie ma ratunku, bo oto zgasła mu na zawsze jasna pochodnia jego żywota w postaci téj nadobnéj kobiety, martwo przed nim leżącéj. Tę boleść osierocenia każde pokolenie zawsze odczuć potrafi i ztąd największa sława Barbary, że tyle znaczyła w życiu swego małżonka. On jéj zatem w sercu swojém wiekopomny pomnik wystawił i o innym nié ma już co mówić. Przed niedawnemi czasy odzywano się z Wilna o składki na pomnik dla królowéj Barbary i znajdowano, żeśmy tu oziębli w tym względzie, nie była to jednak z naszéj strony obojętność tylko poczucie, że pomnik do którego każda jednostka narodu grosz swój dokłada, a więc będący ogólnéj czci wyrazem, należy się tylko ludziom, którzy pracą, nauką i poświęceniem służyli krajowi, Barbara zatem, jakkolwiek pięknych zawsze tematów może dostarczyć artyście, do takiego hołdu nié ma bynajmniéj prawa.



KORRESPONDENCJA Z NAD BALTYKU.

(Dokończenie.)

Dojechawszy do Torunia znalazłam się nareszcie niedaleko punktu, w którym Wisła skręca się na północ podążając ku Baltykowi i w dalszéj podróży nie miałam już daleko odbiegać od jéj wybrzeży. Wschód słońca zastał mnie na statku przenoszącym nas na jéj brzeg prawy, do dawnych Prus królewskich, w których część zwaną niegdyś województwem Chełmińskiém, wstępowałam mając przed sobą ową starą, krzyżacką do zaborów na pruskiéj ziemi *bra mę, thor*, Toruń późniéjszy, dzisiaj znacznie spadłe z dawnéj świetności i zamożności miasteczko. Stara warownia ta ścieśniona, otoczona murem ciemno czerwonym jak wszystkie prawie jéj większe budowle, ze szczątkami zamku, z wieżycami świątyń gotyckich, któréj mistrz Herman Balck w XIII wieku był założycielem, zajęła mnie nie tyle położeniem nad które mamy nie jedno nad Wisłą piękniejsze, ile wspomnieniem owych wojowników krzyża, co tu oparli swą potęgę i stali się sami *krzyżem Pańskim*, dla plemion osiadłych na téj przestrzeni. O czwartéj zrana ulice miasta były jeszcze dość puste, aby moja wyobraźnia mogła je zaludnić postaciami z przeszłości; domy staroświeckiéj budowy rysujące wcale oryginalny obrazek, dla nieprzyzwyczajonego do nich oka, niezmiernie dopomagały fantazji, a nie jedna karta dziejów mogła dostarczyć bogatego w treść i barwę wątku, począwszy od powtarzających się tu układów Jagiellonów z krzyżakami, aż do smutnéj pamięci dwukrotnych wojen szwedzkich. Zygmunt III złożył w Toruniu zwłoki swéj siostry Anny i po dziś dzień *snopek* Wazów zwiesza się nad tym pomnikiem w kościele obecnie luterskim Panny Marji. Zatrzymał mnie długą chwilę przed sobą ten biały marmurowy posąg dziewicy, złożony w głębokiéj jak kaplica niszy, na czarnéj podstawie, niby jasny anioł życia ujęty mrokiem grobu. Cały kościół wart szczegółowego zwiedzenia, wspaniały, rozległy z prześliczną gotycką amboną, sam też gotyk czysty według twierdzenia znawców, przemawia do duszy chrześcijanina wzniosłém i tęskném wrażeniem, jakie ta architektura zawsze budzi, lecz losy jego, przypominają gorszące zatargi Jezuitów z różnowiercami, rabunki, morderstwa i rusztowania, które były ich następstwem. A jeszcze wyznać trzeba z chlubą, że nasz kraj był widownią małych tylko epizodów krwawych tragedji tego rodzaju, które się odgrywały w reszcie Europy.

Chór kościoła Panny Marji umieszczony jest z boku, z któréj to strony był dawniéj klasztor bernardynów dziś zniesiony.

Zaledwie miałam czas obejrzyć kościół Ś. Jana, gdzie złożono wnętrzności tu zmarłego króla Jana Olbrachta, a już szmer bruków ożywionych wznowioném dreptaniem ludzkiego mrowiska, oznajmiał mi że zbudziło się miasto; że zaś to był dzień targowy, cały plac w około ratusza zapełniły wózki i przekupnie, a stojący posąg Kopernika ukazał mi się w wieńcu koszyków z jarzynami i przekupek niemieckich, nie ustępujących bynajmniéj naszym, sławnym z wygadania. Słyszałam z dawna o domu Kopernika, który tu w miejscu jego urodzenia każdy odwiedzić pragnie i wnet dopytałam się o niego, bo do téj ciekawości widać przywykli mieszkańcy Torunia. Postrzegłszy przed sobą niepozorny sklepik korzenny, znowu powtarzam pytanie: Gdzie dom Kopernika? „Tu, tu, powiada mi uśmiechnięty kupczyk, tu się rodził Kopernik.“ I wskazuje przyległą brudną bufetową salę, cuchnącą od pomięszanéj woni potraw i tytuniu, w kącie któréj wizerunek Kopernika smutnie wyziera z pośród ram zakopconych. Ach! doprawdy nic boleśniejszego jak przyjść z myślą o wielkości, a potrącić o trywialność; bezwątpienia taka jest konieczna dola ludzkości, spętanéj materjalnemi warunkami istnienia, ale nie mniéj ona zawsze rani i ręczę wam, że lepiéj

oglądać jako pamiątkę rysowany dom Kopernika, który wam podajemy, niżeli w prawdziwym, zamiast spodziewanych wrażeń, używać jedynie zapachu zrazów z cebulą.

Trzeci kościół zasługujący na uwagę, ogromem i wspaniałą gotycką architekturą swoją, jest kościół Ś. Jakóba, parafja niemców katolików, proboszcz jednak wcale dobrze mówi po polsku. Był tu niegdyś klasztor pp. Benedyktynek o którego bogactwie świadczą ozdoby ołtarzy. Jest jeden misternie z drzewa rzeźbiony sprowadzony z Włoch na cześć Ś. Józefa. Wizerunki ksieniów z pastorałami w ręku, obrazy świętych znakomitego pędzla zwracają uwagę. Jeden obraz stary malowany na drzewie, zabawił mnie naiwnością swoją i niepoprawnością rysunku. Judaszowi w żółtéj sukni, szatan bokiem duszę wydziera. Spytacie się może przy téj sposobności jak dusza wygląda? Jest to sobie człowieczek w zmniejszeniu, ale już naturalnie bez sukienki. Ten obraz, ma być na równi z kościołem, płodem XIV wieku

Możnaby jeszcze przytoczyć pełno szczegółów, ale nie mam pretensji pisania przewodnika po Toruniu, najlepszym byłyby przewodnikiem dzieje, gdyby ciągle niezacierano tu ich wspomnień. W ratuszu jednakże oglądałam wizerunki królów Polskich, lecz te niedawno odświeżone niewprawnym widać pędzlem, rażą jaskrawemi farbami, jednostajnością i podobieństwem jednéj twarzy do drugiéj. Ratusz Toruński gdzie się niegdyś odbywały poważne narady starszych tego hanzeatyckiego miasta, należy do odznaczających się wielkością i architekturą. Zbudowany w czworobok, piękną z każdéj strony odznacza się fasadą, a umieszczona z boku kwadratowa olbrzymia wieża, przydaje wspaniałości ogółowi gmachu i jest jakby przedstawicielką dawnéj miast potęgi. W ratuszu tym w którym niegdyś obszerne komnaty na setki się liczyły, są teraz bióra rządowe i pociesznie wyglądają płaskorzeźby i malowidła mitologiczne, na ścianach wygarnirowanych poniżéj przyżółkłemi aktami, a wspaniała rozległość sal znacznie zmniejszona stojącemi półkami przy każdym stoliku. Lecz są inne, nie zużytkowane przez władze, a zostawione na pewien rodzaj muzeum, w którém się najróżnorodniejsze mieszczą pamiątki. Oprócz wspomnianych portretów królów, są inne przedstawiające burmistrzów miasta, jest kilka obrazów cennych, wizerunek Kopernika, oraz świat według jego systematu wyrobiony z drzewa. Są instrumenta muzyczne dęte, używane w XV i XVI wieku i liczne stemple od dawnéj monety, Toruń bowiem był główném miastem menniczném krzyżaków, pod panowaniem Wazów wybijał nawet talary i dukaty i miał mennicę do roku 1765. Znajdują się także przechowane dzbany ozdobione płaskorzeźbami z gliny kolorowanéj, kufle z portretami i wierszami, które niegdyś zapewne między panami rajcami krążyły, piec stary z kunsztownie wyrobionych kafli, popielnice licznie wykopywane w okolicy Torunia, miecze, ostrogi i tym podobne po zgasłych pokoleniach pamiątki. Przebiegłam jeszcze dla obejrzenia miasta, kilka ulic z których jedna arabska musi mieć swoją, sięgającą Wschodu historję. Wszystkie prawie o wysokich domach, ciasne, nad rzeką zaś przepełnione spichrzami i cuchnące tak dobrze jak nasze Warszawskie. Kształtu zamku trudno zrozumieć z pozostałych murów i bramy, wnioskować jednak można, że musiał groźnie wznosić się nad Wisłą. Obejrzawszy to wszystko wspomniałam o zrobieniu zapasu sławnych pierników, które, mówiąc nawiasem, takie same prawie u nas robią. Cała ich dobroć, jak mi powiadał jeden fabrykant, zależy na tém, żeby ciasto było stare, żeby je po wyrobieniu trzymać w piwnicy kilka miesięcy, rok i dłużéj. Nawet mniejsze pierniczki wyrabiają z ciasta, które leżało przynajmniéj dwa tygodnie. I ztąd w piernikach toruńskich ten ceniony i posilny smak miodu starego. Podaję ten szczegół do wiadomości naszych gospodyń.

W Toruniu można wsiąść na kolej żelazną, któréj piękny dworzec z drugiéj strony Wisły na Podgórzu się wznosi i przez będącą na boku Bydgoszcz, pędzić aż do samego Gdańska. Ale mnie nęciła chęć poznania dawnéj stolicy ziemi Chełmińskiéj samego Chełmna. Droga zajęła mi tylko 5 godzin czasu, a lud wiejski który spotykałam zrobił mi przyjemność swą polską mową. W jedném miejscu zapytali mnie

zkąd jestem i ciekawie dowiadywali się o Warszawę. Jak to mile brzmiało po niemieckiéj mowie, która mnie niewprawnéj literalnie męczyła uszy i język.

Już późnym wieczorem pokazało nam się na wzgórzu Chełmno i zarysowała olbrzymiemi kształty gotycka jego Fara. Pierwotne założenie tego kościoła w niepewnéj ginie oddali. Jedni twierdzą że powstał wraz z biskupstwem Chełmińskiém za czasów Mieczysława I, drudzy że za Konrada Mazowieckiego wzniesiony, który tu na biskupstwie Chrystjana osadził, a całą ziemię Chełmińską wkrótce za tegoż biskupa namową oddał krzyżakom. W każdym razie wnosić można z napisu, że go jeżeli nie całkiem wybudował, to do dzisiejszych wspaniałych kształtów podniósł w XIII wieku wielki mistrz krzyżacki Herman de Salza, którego portret widzieć można niedaleko chóru, przemalowany w naszém stuleciu z dawnego całkiem już zbutwiałego. W czasach wojen Władysława Jagiełły i jego syna Kazimierza z zakonem, nie mało ucierpiało miasto, a rabunki i pożogi musiały téż i na losy świątyni oddziałać. W XV wieku pokojem Toruńskim, zrzekł się na zawsze zakon Krzyżacki ziemi Chełmińskiéj na rzecz Polski, a król Kazimierz Jagiellończyk zamienił ją na województwo. Z tych i następnych czasów są u fary pamiątki i nagrobki polskie. Lubo stolica biskupów Chełmińskich oddawna przeniesiona była do Chełmży, tu pochowany jednak Kazimierz Szczuka, który przez pokorę chrześcijańską, długo biskupiéj godności odmawiał, aż nareszcie przyjął biskupstwo chełmińskie i należał do dobrodziejów farnego kościoła. Inne imiona polskie jako to: Konojadzkich, Dobrskich, Kolińskich, czytać tu można na tablicach grobowych. Popiersie kamienne, znakomitego nauką i miłością do rodzinnego miasta Andrzeja Grylewicza burmistrza z XVII wieku, wychyla się z po nad napisu, który opiewa jego przymioty. Do fundacji czy téż odbudowania pięknéj kaplicy Panny Marji, przywiązane jest imie Mateusza Niemojewskiego i groby téj rodziny znajdują się w jéj podziemiach, słowem jak słusznie mówi dr: Seeman, który w r. 1856 wydał broszurkę w języku niemieckim o chełmińskiéj katedrze: „kościoły średniowieczne są Walhallą, miastami umarłych, w których miniona społeczność zapisała sobie miejsca spoczynku; w ich podziemiach czytamy jakby w kamiennéj księdze roczniki pokoleń, których przejścia, wieki były świadkami." Wszystkich w Chełmnie kościołów jest 7, ale po większéj części zrujnowanych. Klasztor z kościołem po benedyktynkach objęły siostry miłosierdzia i utrzymują pensję panien. Przy opustoszałym franciszkańskim kościele, budują nowe gimnazjum i zapewne go wyrestaurują. Po dominikański przez ewangielików zajęty.

Ratusz Chełmiński kwadratowy z wieżą, stojący na porządnie zabudowanym rynku, przypomniał mi cokolwiek budowę sukiennic krakowskich. Za czasów krzyżackich, nie mała była powaga tutejszego magistratu, kiedy prawo Magdeburskie tu zastosowane ze zmianą lub dodatkami, było wzorem dla innych miast pruskich, które w trudnych razach odnosiły się, czyli mówiąc urzędowym językiem *apellowały* do Chełmna. Prawo to tak uzupełnione zwało się chełmińskiém. Skoro cała prowincja wróciła pod polskie panowanie, Chełmno utraciło owo przeważne pierwszeństwo między pruskiemi miastami; dziś objęte jest w granicach Prus zachodnich.

Zabawiwszy w Chełmnie dzień cały, ruszyłam następnego o w pół do siódméj zrana, do najbliższéj stacji kolei żelaznéj w Terespolu, dokąd już poczta podejmuje się dostawić na półgodziny przed odejściem pociągu, co niebyłoby tak łatwo dla prywatnego, gdyż się na lewy brzeg Wisły przeprawiać trzeba. Usiadło nas sześć kobiet w ogromnéj karecie, drugą zajęło towarzystwo męzkie i zaczęliśmy zjeżdżać ze wzgórza na którém miasto położone, do Wisły płynącéj nieco w oddali, a tylko posyłającéj w około góry jedną z odnóg swoich, dla zasilenia wodą miasta Chełmna, które się może poszczycić dobrze urządzonemi wodociągami. Jest to bezwątpienia jedno z najpiękniejszych nadwiślańskich wybrzeży; góra uwieńczona murami miasta ustopniowana staraniem ludzkiém w amfiteatr kwitnący ogrodami, a poprzerzynany chodnikami tak pięknemi, żeby ich niejedno wielkie miasto pozazdrościć mogło. Tu cała ludność, starsi i dzieci powabnych

używa przechadzek uwieńczonych omszałemi murami starych kościołów, z przeciwnéj zaś strony, urządzony na rozległą skalę zakład kadetów, sięga aż na sam dół winnicą i bogatemi sadami drzew owocowych, których hodowaniem zabawiają się sami młodzi kandydaci do wojskowego stanu. Wnosicie zapewne i nie bez słuszności, że życie umysłowe w Chełmnie jest wielkie, ale za to podobno handlowe prawie żadne



Dom Kopernika w Toruniu.

i wszystko drożéj niż gdzie indziéj kupować trzeba.

Na przeciw Chełmna, na lewym Wisły brzegu widać miasteczko Swieć, wśród którego sterczą zwaliska zamku budowanego w XIII wieku, przez Światopełka księcia Pomorskiego. Wychylałyśmy się wszystkie z karety patrząc ciekawie na miasteczko, naznaczone w nizinie gromadką domów, urozmaiconych wyniosłym kościołem i wieżą starego zamczyska. „Radabym widzieć... zaczęła jedna z moich niemieckich towarzyszek, która ciągle szczebiotała w swym języku z obok siedzącemi. — I ja též, podchwyciłam zatopiona w namiętnéj mojéj do starych zamków ciekawości, któréj nie mogłam dla braku czasu tutaj zaspokoić, a dodałam po chwili — zapewne dawną siedzibę Światopełka, zamczysko.... Ej! zawołała śmiejąc się, to stara rudera niewarta widzenia, ale tam jest nowiutki i okazały dom warjatów.

Zamilkłam, poznawszy że nam zupełnie o co innego chodziło, wkrótce też stanęliśmy na stacji, poczta nasze tłomoczki najskrupulatniéj urzędnikom kolei oddała i nie mieliśmy już większego kłopotu, jak zapłacić i wsiąść do wagonu.

Na drodze do Gdańska, dostrzedz można tu i owdzie wspaniałe kościoły fundacji krzyżaków czy książąt Pomorskich; miasteczko Tczewo gdzie się rozchodzą pociągi do Gdańska i Królewca, ma dwie takie odznaczające się świątynie stare, na które już

dziś nikt nie patrzy, bo każdy zajęty nowym mostem na Wiśle, arcydziełem budownictwa tego rodzaju, do którego ma być podobny ten, co niezadługo stanie pod Warszawą.

Przed samém południem przybyłam do Gdańska, gdzie właśnie kończył się jarmark Ś. Dominika i różnego rodzaju budy i wystawy, utrudniały przeciśnięcie się przez wąskie już i tak ulice. Jednéj polskiéj rodzinie wyjeżdżającéj wieczorem z Gdańska do Sobot, zdarzył się pocieszny wypadek, ich powóz bowiem wywrócił jednę taką budę i z pół tuzina kobiet i dziatwy wypadło (dodać należy że bez szwanku) z góry, gdzie sobie po nad towarami urządzili posłanie. Niedawno Deotyma tak szczegółowo, obrazowie i pięknie opisała Gdańsk, że nie pokusiłabym się po niéj powtarzać, powiem tylko, że to miasto bardzo zajmujące przez swą barwę starożytną, a dawni jego mieszkańcy byli to pany nie lada, którzy umieli mienia swego używać, wszystko bowiem co zostawili jest pełne dobrego smaku. Kościoły, ratusz, giełda ów sławny dworzec Artusa świadczą, że nie tylko pieniędzy nie żałowano, ale że wiedziano na co ich wydać. Lecz dziś owe obszerne ganki kamienne przed domami, które były miejscem wypoczynku i zebrania dla możnych rodzin, stały się tylko przedsieniami sklepów i domów i gdyby nie wysoka cześć dla przeszłości jaką mają Gdańszczanie, jużby je dawno zrzucili. Przez nie bowiem nié ma trotuarów, przechodzień na wąskich ulicach spychany jest przez jadących w rynsztok, a całe szczęście że jeżdżą wolno, gdyż inaczéj przypadków byłoby bez liku. Handlujący po wyjściu z giełdy zalegają połowę najwspanialszéj ulicy zwanéj Długą, a zwyczajni przechodnie przez ich tłumy przeciskać się muszą. Ztąd Gdańsk jest prześlicznym staroświeckim obrazkiem, ale nigdy nie może być miłém miejscem pobytu, tém bardziéj że tu interesa handlowe, przedewszystkiém większą część ludności zajmują.

Zwiedziłam także prywatne muzeum, urządzone we wspaniałych korytarzach po franciszkańskiego kościoła. Mówiono mi że osoba założyciela pana Freitaga rzeźbiarza, na równi, a może więcéj od samego zbioru zajęła przejeżdżającego tędy w zeszłym roku, prezesa kommissji archeologicznéj Wileńskiéj hr. Tyszkiewicza i wierzę. Człowiek co wydarł zapomnieniu tyle pamiątek przeszłości, ocalił od przeistoczenia, a więc zagłady gmach znakomity pięknością architektury, co walczył z systematyczną niechęcią, z osobistém ubóstwem i nareście na swojém postawił, budzi zajęcie pełne szacunku. Jest temu blisko lat 20 jak klasztor franciszkański chciano przerobić na składy wojskowe. P. Frejtag nauczyciel rzeźbiarstwa, rozmiłowany w jego budowie łączącéj w sobie styl gotycki z bizantyjskim, oparł się temu, utrzymując że właśnie założył tu muzeum starożytności i spór tocząc z władzami Gdańska, zbierał gdzie tylko mógł różne dawne zabytki i zamieszkał wśród nich wraz z siostrą obłąkaną, która zrozumiała jednę rzecz, że trzeba nie dawać nikomu tych skarbów, broniła więc zapamiętale do nich wnijścia. Brat jéj tymczasem mimo szczupłych funduszów, wybrał się w podróż do Berlina, prosił o audjencją króla Pruskiego i tak zainteresował monarchę, że tenże zakazał zabierać gmachu, a Freitagowi założyć muzeum dozwolił. Stało się to roku 1845.

Dopytawszy się o kościół franciszkanów, weszliśmy na chwastem zarosłe podwórze, ponure jak grobowiec. Żaden głos niedolatywał z ulicy i nie przerywał ciszy uroczystéj, wśród któréj zwykle przeszłość ze swéj bogatéj skarbnicy roni wspomnienia, skwapliwie przez wyobraźnię ludzką chwytane i obrazowane w cudnéj barwy mozajkę. Za otwarciem drzwi ukazały nam się dwie armaty, z najstarszych jakie się dotąd przechowały, jedna z nich 12 stóp długa w drzewo oprawna—i pracownia rzeźbiarza, gdzie wśród gipsowych modeli rozpięty jest dyplom na członka uczonego towarzystwa, przysłany roku 1664 z Londynu, radcy miasta Gdańska astronomowi Heweliuszowi. Z uśmiechem wielkiego zadowolenia przypatrywał się p. Freitag obudzonemu zajęciu naszemu i ze zwinną lekkością, którą jego siwe włosy podziwiać kazały, zaczął nas oprowadzać po swojém państwie, zatrzymując się często żeby zwrócić naszą uwagę na piękność perspektywy krużganków klasztornych, które cudném swém sklepieniem biegły w dal zaledwie okiem dości-

gnioną, jak pieśń wzniosła i harmonijna ulatująca echem w Niebiosa. Przedstawiał nam najrozmaitsze przedmioty, opowiadał gdzie je dostał i kiedy, dozwolił brać w ręce, chociaż sam poprzylepiał karteczki że ich dotykać nie wolno, ale porywała go nasza bodaj natrętna ciekawość, więc spowiadał się ze swych zabiegów, ze swéj miłości, dla tych nieraz z trudnością zdobytych skarbów. Przedstawiają one obfity materjał do muzeum, tak są jednak rozłożone bez systemu, że na miano jego zasługiwać nie mogą, tém bardziéj że są rzeczy bardzo błahe i wątpliwéj starożytności, obok niezmiernie ciekawych. Między innemi są pyszne okazy tych misternych rzeźb na drzewie, któremi Gdańsk tak dawniéj słynął; poręcze schodów, drzwi całe lub ich odłamy, od których wieje jakaś tkliwa poezja domowego życia, które tak estetycznego otoczenia szukało w martwych nawet przedmiotach. Można się tu napatrzeć, przy jak cudownie wyrobionych kominkach, zasiadało gwarząc zimowemi dniami tutejsze mieszczaństwo, a we wszystkich tych ozdobach, często powtarza się wyobrażenie Kurcjusza na koniu, wskakującego w ziejącą ogniem przepaść. To przypominanie sobie czynu rzymianina, który dla ocalenia kraju, bez wahania na śmierć się poświęcił, daje miarę jakiemi tchnęli uczuciami obywatele Gdańska, a przez to objaśnia siłę ich i potęgę. Sztuka garncarska musiała bardzo kwitnąć w Gdańsku; świadczy o tém kilkanaście tafli różnéj wielkości, z płaskorzeźbami prawdziwie artystycznie wyrobionemi. Dzbanki różne zwróciły także naszą uwagę, a pomiędzy niemi jeden szczególniéj ze zwyczajnéj czerwono polewanéj gliny. Rozchodzi się on od podstawy na dwie odnogi, schodzące się znowu u góry. W próżni koła jakie zakreślają, jest okrągły stoliczek zastawiony butelkami, przy którym siedzi trzech muzykantów zdających się rzempolić tak raźnie, że ich widok mimowoli daje myśl weselszą, jaką zapewne z wnętrza naczynia sączone piwko, jeszcze bardziéj podniecało. Jakiś znawca ofiarował napróżno za ten dzban sto talarów.

Z Gdańskich pamiątek oglądaliśmy jeszcze sanie przedłużone u przodu w kształt pelikana, powóz, prawdziwą *kolebkę*, nabijany świecącemi gwoździkami, który był niegdyś przez magistrat używany; zamki szczególne mające po kilkadziesiąt rygli, tak kunsztownie zachodzących jeden w drugi, że się dosyć nadziwić ich mechanizmowi nie można — pieczęcie miasta i olbrzymie klucze od dawnych bram jego. Prześliczny także ołtarzyk, rzeźbiony z drzewa przez Wolgemutha, ucznia Alberta Dürera. Prócz tego napotkać tu można ciekawe stare obrazy dawnych klasztorów okolicznych, niekształtne posążki Chrystusa i Matki Boskiéj z pierwszych czasów chrześcijaństwa znalezione na półwyspie Heli; obok portretu Kazimierza Jagiellończyka rozpięta karteczka, któréj magiczne wyrazy miały wywoływać miłość. Drugi polski portret, wyobrażający Jakóba Sobieskiego ojca króla Jana, napotkaliśmy na górze u wnijścia do pracowni pana Stryjowskiego, który maluje flisaków przypływających do Gdańska z taką prawdą i talentem, że jego obrazy bardzo są rozkupywane. Pracownia ta już jest urządzona z dzisiejszą elegancją i szczególnie wygląda ten konfort na małą skalę, oprawiony w olbrzymią ramę ruin. Lecz tam gdzie Freitag panuje, wszystko pozostało po staremu. W dawnym kapitularzu pomieścił resztki biblioteki i resztki mumji zkądciś wyrwanych, a sam wśród rozległego klasztoru także mumji z dawnéj świetności Gdańska, przebywa dniem i nocą ze starożytnościami swemi, sam jeden od czasu jak mu siostra zmarła, a uśmiechnięty i nieczujący się sierotą, bo ma w około siebie przedmioty miłości swojéj. Pożegnaliśmy go ze współuczuciem, była to pierwsza dłoń niemca którąśmy uścisnęli tak życzliwie.

Między Gdańskiem a Sobotami krążą kilka razy dziennie omnibusy, któremi za 1 zł. gr. 6, tę blisko półtora milową przestrzeń przebyć można. Jedzie się wspaniale sadzoną ulicą, mając po prawéj stronie las masztów okrętów stojących w Farwaserze [1]) za którego latarniową wieżą, zaczyna przebłyskiwać morze. Tu i owdzie rzucone powabne domki wśród zielonych wzgórzów, zdają się zapraszać wonią kwiatów, lubością ciszy wiejskiéj, do swojego wnętrza, byleby tylko przyjść je zamieszkać

[1]) Nazwa samego portu przy ujściu Wisły do morza będącego.

z dobrym dochodem, bo chleb powszedni, ten tyran który nie raz rozbija w puch najtkliwsze szczęście, jest tu niestety! dość drogi. Wille te zajmowane są w lecie przez bogatszych kupców Gdańska.

Na płaszczyznie cokolwiek drzewami od morza zasłoniętéj, jest domek do którego przywiązane podanie, że w nim przebywał Stanisław Leszczyński. I bardzo to być mogło w r. 1734, kiedy Leszczyński zmuszony uciekać z Warszawy, zamknął się w Gdańsku czekając na posiłki francuzkie. Miasto pod którém stał jenerał Münich, obiecało go bronić do ostatniéj kropli krwi, lecz po trzech miesięczném oblężeniu król nie chcąc je czynić ofiarą, rozkazał kapitulować a sam postanowił się wymknąć, do czego mu dopomógł ambassador francuzki Monti. Zaczęto od przebrania króla za człowieka niskiego stanu. Już była przygotowana wytarta kapota, gruba koszula i czapka, nie śmiano tylko dać nowych butów, a starych nie było. Monti patrzał chciwie po wszystkich nogach na których były wytarte buty, ale prosząc o nie można się było zdradzić, więc aż przekupił służącego pewnego oficera, żeby buty skradł swemu panu, a jemu je odprzedał. Wszystko nareście gotowe i zbliża się noc naznaczona do ucieczki, Stanisław zaczyna się przebierać, ale obuwie nabyte kosztem moralności pokazuje się za ciasne. Wtedy Monti padł na koncept od którego mógłbył zacząć — porwał buty jednego ze swoich służących.

O tych szczegółach donosił Stanisław córce swojéj i opowiadał jéj zarazem, że resztę nocy i dzień następny, spędził pod Gdańskiem, w chacie wśród bagnistéj okolicy, dokąd dopłynęli po zalewach Wisły szukając jéj koryta. Na drugi dzień zrana wyszedł spojrzeć na miasto wychylające się z mgły porannéj, a odgłos bombardowania zranił serce jego. Wątpię żeby chata z tamtych czasów dziś istniała, ale może być to samo miejsce, z którego Leszczyński patrząc, zabolał nad losem stronników i okrutnemi wojny kolejami.

Po różnych przygodach przepłynął szczęśliwie Nogat i dostał się do Marienwederu, gdzie go już nieprzyjaciele doścignąć nie mogli. Wjechał do miasta na chłopskim wozie pełnym słomy, nie zawstydzony tém i spokojny, bo jak dodaje: „Ci tylko którzy na swoje nieszczęścia zasłużyli, przypominają je sobie z boleścią.“

Oliwa położona wśród wzgórz piętrzących się powabnym łańcuchem po nadmorską płaszczyzną, jest celem częstych wycieczek czasowych mieszkańców Soboty. Dawny ogród opatów dziś królewski i góra Karola okryta pięknym parkiem, bywa zawsze przyjemném miejscem przechadzki. Z wysokości góry widać ukryte w zieleni drzew dawne opactwo Cystersów, białe niby koncha przechowująca drogie perły pamiątek. W samym kościele bardzo rozległym, są grobowce zajmujące polskich rodzin, są portrety królów naszych, mistrzów krzyżackich i pomorskich książąt. W kapitularzu widać cały szereg dawnych opatów — obok sala gdzie podpisano pamiętny traktat Oliwski, ma świadczący o tém napis i wymalowane dwie ręce jako zgody godło. Jest tam i stół na którym podpisano pokój, a lubo łzy które nad nim wylał Jan Kazimierz dawno wyschły, przecież ich smutek proroczy owłada duszę przychodnia.

Robiliśmy parowcem wycieczkę na półwyspę Helę. Cztery godziny licząc tam i napowrót, na morzu jakkolwiek spokojném, miłemi przecież mi nie były. Wylądowawszy na piasek półwyspu, gotowa byłam myśleć żem dostała skrzydeł, takem się czuła raźna, uszczęśliwiona czując ziemię pod stopami. Cała ludność osady wybiegła wołając na nas o jałmużnę i rzeczywiście, to nędzarze żyjący tylko z połowu ryb na tym długim a wązkim pasie ziemi, wiecznie podmywanym przez morskie bałwany, na którym zaledwie trochę karłowatych drzew rośnie. Twierdzą że kościół tamtejszy, coraz staje się niższym osiadając w piaskach. Do latarni idzie się po 170 przeszło wschodach, a ma ona to do siebie, że się obraca i przedstawia światło drgające i po tém ją rozróżniają żeglarze od latarni Farwaseru. Opowiadano nam że tu przed laty był pr. Jastrzębowski, szukając na próżno śladu dawnych twierdz Władysławowa i Kazimierzowa, które tu niegdyś stały na krańcu zatoki Puckiéj.

W ostatnich dniach Sierpnia, stanął na kotwicy wprost kąpielowego zakładu, okręt

angielski o 90 działach na którym był książe Alfred. Ciekawie dopytywałyśmy się o niego kilku naszych panów, którzy popłynęli zwiedzić okręt. Opowiedzieli nam że uważali zupełną równość umeblowania kajuty jego i innych miczmanów, używali też tak niedyskretnie prawa zwiedzających, że syn królowéj Wiktorji, zniecierpliwiony kajutę przed nosem ciekawskich zamknął. Polskie towarzystwo najdłużéj dotrzymywało placu, coraz to zimniejszym kąpielom. Wiele osób bardzo chwaliło błogie ich dla siebie skutki, a wkrótce otwierająca się kolej z Warszawy przez Toruń do Gdańska, zapewne nie jednego skłoni do téj bliższéj i tańszéj niż do innych mórz wycieczki.

J. Śmigielska.

KORONACJE OBRAZÓW ŚWIĘTYCH.

(Dokończenie.)

Już na pierwszéj koronacji Częstochowskiéj były drukowane opisy i panegiryki. Poźniéj się żadna koronacja bez takich opisów i dzieł nie obeszła, fundator miałby sobie za grzech śmiertelny opuścić cośkolwiek, a co już jeden zrobił w poprzedniéj koronacji, to drugi naśladował, bo nie chodziło wcale o koszt panom, kiedy się im chciało uczcić Marję. Naturalnie w miarę czasu rosły ogromnie i wydatki na koronacje. Znowu więc współzawodnictwo pobożne; obok głównego fundatora staje drugi i trzeci, który także sadzi się na uczczenie Marji. Oczywiście nikt mu tego zakazać nie może. Otóż co późniejsza koronacja, to więcéj na niéj gospodarzy i co za tém idzie, więcéj wystawności. Są całe rodziny, które razem występują. Na czele jednakże tym wszystkim pobożnym fundatorom stoi tak pierwsza tutaj, jak i pierwsza prawie podówczas w narodzie, najbogatsza, najliczniejsza, najwięcéj dostojnych urzędów i krzeseł w Rzeczypospolitéj zajmująca rodzina Potockich. A w rodzinie przy koronacjach obrazów, pierwsze miejsce należy się Michałowi Potockiemu pisarzowi polnemu koronnemu, który później wyszedł na wojewodę wołyńskiego. Był to prawdziwy syn kozaczych stepów, bił się jak wściekły, jeden uderzał na stu, pobożny i rubaszny był jak kwestarz. Rozsypywał czyny miłosierdzia przy dumie, która nawet w równym sobie nieuznawała brata. Potocki od Sokalskiéj koronacji rozpalony nabożeństwem do każdéj trafił. Jednéj był fundatorem, drugiéj dobrodziejem, na trzecią korony kupował, naturalnie szczerozłote w Rzymie, a na każdéj był osobiście, modlił się i śpiewał. Przykład przez pobożnego wojewodę dany, działał na wszystkich w około. Była i biskupom cześć jeździć po koronacjach, należyć do nich, ale Rupniewskiemu jednemu tylko tak szczęśliwie się powiodło, że sam dwa obrazy koronował, Kodeński i Podkamieński. Szczęśliwszy był pod tym względem nawet od Brzostowskiego, który jeden tylko obraz w Trokach koronował, bo przy Częstochowskim towarzyszył tylko Szembekowi. Pobożnym biskupom wiecznie te pamiątki w życiu świeciły; a nie jeden ze świeckich, co rozważał te rzeczy, mógł domyślać się przez pobożność, że Matka Boska łaskawszą była stąd na Rupniewskiego, że się z dyssydenta nawrócił i był bardzo gorliwym biskupem. Wyjątkowym to sposobem zdarzyło się późniéj, że przy jednéj koronacji biskupa płockiego zastępował suffragan Chełmiński (w Skępem, 1755 r. Szembeka Fabian Pląskowski, Pam. relig. moralny XI str. 257).

Ale sześć koronacji za Augusta II były dopiero początkiem. Pobożni biskupi i panowie, którzy o tych uroczystościach pierwsi pomyśleli, rychło się przekonali, że przeszczepili z Rzymu instytucję, która zaraz narodowe barwy przybrała. Zwyczaj ten rozwinął się na piękne za następnego panowania; za owych błogich czasów swobody i żołądka i głowy. Oczywiście przeszło lat kilka pierwszych bez żadnych oznak głośnych pobożności, wśród wojen domowych i ciężkiego przesilenia. Ale zaledwie się w Rzeczypospolitéj uspokoiło, już pobożność wystąpiła. Obrzędy koronacji się

mnożą. Processje wszędzie w Polsce. Myślałby kto, że kraj to najszczęśliwszy na ziemi, że nie ma nawet o czém myśleć, że wdzięczność swoją tylko zostało mu głosić przed niebem. Sejmy niedochodziły, a panowie koronowali obrazy. Rzeczpospolita upadała coraz bardziéj, bo własne dzieci targały jéj łono, a biskupi nie wołali do pokuty. Prawo się łamało, rozpusta wyradzała się w dzikość, a na koronacjach tłumy spokojne i modlące się narodu; nikt nie czuł zdaje się, że bolało, tak wszyscy do cierpień nawykli, nikt krzywdy bliźniego nie widział, bo nie było czasu, modlili się. I dziwna sprzeczność: najpobożniejsi na koronacjach fundatorowie zwykle to byli ludzie nie ludzie, bo krwi człowieczéj nie mieli w żyłach, ale dumę, któraby światem zatrzęsła, gdyby mogła. Czasy Augusta III to, że się tak wyrazim, ojczyzna w czasie koronacji. Koronacja tylko przez te lat trzydzieści przechodziła z jednego miejsca na drugie, aż obeszła wszystkie polskie kraje.

Nowy okres koronacji za drugiego panowania sasa otwiera prośba szlachty ruskiéj podpisana do Rzymu na sejmiku w Chełmie w r. 1738 o dozwolenie koronowania Najświętszéj Panny Chełmskiéj, téj co zwycięztwo odniosła pod Beresteczkiem. Cuda jéj w natchnionéj książce opisywał za Jana Kazimierza i Sobieskiego ksiądz Jakób Susza błogosławiony władyka chełmski. Nie wiadomo dla czego koronacja ta spóźniła się jednak o całe panowanie i bodaj czy nie pierwszą z kolei za czasów Augusta III była koronacja obrazu u kapucynów w Warszawie. Rzecz uderzająca, że o tym wypadku tak blisko dotyczącym się dziejów miasta naszego, nie mamy dotąd żadnych pewnych wiadomości; czasu nawet téj koronacji oznaczyć nie można, mogła nastąpić jeszcze w ostatnich latach panowania Augusta II, bo Kamil Paulucci nuncjusz i arcybiskup ikoneński, który obraz warszawski koronował, bawił się w Polsce od roku 1728.

Nie mamy w ogóle dokładnéj statystyki tych koronacji. Ile ich się odbyło w Polsce? o tém z pewnością powiedzieć nie możemy. Pospolicie ich liczą za Augusta III tylko 13 z warszawską, lubo i tâ liczba jest ogromną, jeżeli zważymy, że zaczęły się dopiero około środka panowania, kiedy spokojność ustaliła się, jakby życie uleciało, to jest od roku 1749. — Na lat 15 około, 13 koronacji, to wypadnie i tak w rok jedna koronacja, a bywały lata, w których po dwie się odbywały. Tak w roku 1752 była jedna w Łąkach Bratyjańskich, druga w Leżajsku i w r. 1755 — jedna w Skępem, druga w Jarosławiu. Pierwsza odbywała się pospolicie na wiosnę, druga na lato. Zwykle do koronacji wybierano uroczystości Najświętszéj Panny, ale najwięcéj się ich odbyło we wrześniu na Narodzenie. — Korony nie zawsze były rzymskie, fundacja Pallaviciniego albowiem dotyczyła się obrazów Najświętszej Panny z Dzieciątkiem Jezus na ręku, w Skępem np. była sama Matka Boską, dla tego na koronę składali się obywatele ziemi Dobrzyńskiéj. — Czasami jednak jak w Łąkach, szlachta Chełmińska, prosi tylko o pozwolenie koronacji z Rzymu, a sama w religijno-patrjotycznym uniesieniu sprawia szczerozłote korony. Toż litewska dla Wileńskiego obrazu. Naturalnie i dobrodzieje nie dają się uprzedzić, Potoccy są przy każdéj prawie koronacji, na każdą łożą choć cośkolwiek, korony często sprawiają. W ogóle polska mało czerpała z funduszów Pallaviciniego, bo we własnych uczuciach znajdowała najobfitsze zasoby miłości. Obok Potockich, Radziwiłłowie, Ogińscy, Sapiehowie, Cetnerowie, Sanguszkowie, Lubomirscy, Czartoryscy, Tyszkiewiczowie i t. d. łożą na koronacje. Pobożna królowa Marja-Józefa przyczyniła się wiele do koronacji obrazu Matki Boskiéj w Chełmie. Obraz Berdyczowski jeden w całéj Polsce miał tę osobliwość, że korony do niego sprawił własnym kosztem sam ojciec święty. Z wielką uroczystością te korony prowadził z katedry żytomierskiéj biskup Kajetan Sołtyk do Berdyczowa, gdzie była „ozdoba i obrona ukraińskich krajów, przecudna w Berdyczowskim ołtarzu Marja.“ Młody kanonik kijowski Ignacy Krasicki należał do złotoustych mówców téj koronacji (Jocher, III str. 623). Ludzie w czasie koronacji nieraz widzieli cuda, domyślali się z tego, że samo niebo się raduje z uroczystości. W Podkamieniu trzeciego dnia nabożeństwa wi-

dziano na niebie nad samym kościołem czerwoną koronę w obłokach, podobną zupełnie do téj, jaka była na obrazie cudownym, dopiero po godzinie zasłoniło ją słońce: lud na odpust zgromadzony i wojsko o pół mili obozem stojące na to zjawisko patrzyło.

Za tego panowania wszystkie już strony Polski posiadały ukoronowane obrazy. Wszystkie celniejsze miasta Rzeczypospolitéj, oprócz Krakowa jednego, mają takie obrazy. W Litwie ukoronowano obraz w kościele u Bernardynek świętego Michała, we Lwowie obraz u Dominikanów. Jeden Przemyśl miał znowu ten święty przywiléj, że posiadał w murach swoich aż dwa ukoronowane obrazy, u Franciszkanów i Dominikanów. Na Ukrainie poza Berdyczów daléj ku Kijowowi na wschód nie posuwały się koronacje, bo nie było tam wcale kościołów łacińskich, a cerkwie unickie ubogie, bez cudownych obrazów.

Mówić o zbiegowiskach ludu na takie obchody! o liczbie duchowieństwa które celebrowało, spowiadało, kommunikowało! Kościoły by największe, gwar, tłum niezmierny zewsząd ściskał. Po odpustach zwyczajnych ludzie nie mieścili się po kościołach a cóż po koronacjach? W Sokalu 13[tu] samych było kaznodziejów, w Podkamieniu 15[tu], w Poczajowie 16[tu], w Częstochowie 17[tu].

Książeczki koronacyjne poprzedzały zwykle same obrzędy, towarzyszyły im i następowały po nich, naturalnie według swojéj treści. Te co poprzedzały, szeroko się rozpisywały w panegirycznych uniesieniach nad historją obrazów, świętością ich, opisywały cudy. Bywało, że „Anioł z obronną ręką” co wprowadzał korony papiezkie do Berdyczowa zdawał o niéj „relacje“ narodowi (taki tytuł książki w Jocherze III str. 470). Drugi szereg książeczek składały pieśni, modlitwy i litanje na cześć obrazu. Nakoniec wychodziły poważne zbiory kazań wypowiedzianych podczas uroczystości i historja saméj koronacji, która powtarzała w sobie raz jeszcze to wszystko co poprzednie książeczki zawierały. Wydań zaś mnożyło się bez liku. Bibliografowie nasi nie spisali jeszcze całego bogactwa literackiego koronacji, stąd możemy o niém sądzić tylko z nie wielu faktów. Sokalskich książeczek na cześć koronacji obrazu pod rozmaitemi tytułami naliczono aż dziewięć. Obraz podkamieniecki sławił jeszcze Szymon Okolski za Władysława IV. Chełmski, jak mowiliśmy Susza za Jana - Kazimierza. Najwalniejszy wszelako pod względem literackim kontyngens dostarczały koronacyjne kazania. Tych moc wszędzie niezmierna. Zaczęły się już wydawać od pierwszéj koronacji częstochowskiéj. Pobożni ojcowie nazywali te arcydzieła wymowy „drogiemi perłami panegirycznych kazań“ (Jocher III str. 477). „Najprzewielebniejsi i przewielebni prałaci“ składali się na te, „drogie perły.“ Jednak na prawdę nie byli to prałaci, tylko prości zakonnicy, różnych reguł, przeorowie, regensi, ordynarjusze. Każdy swemu kazaniu starał się wyszukać i tytuł co wspanialszy. Można sobie wystawić, co to było trudności z temi tytułami, w czasie kiedy cała literatura jakby się nadymała. Jeden więc kaznodzieja przesadzał się nad drugiego. Ten głosił „uniwersał zawołanéj na macierzyństwo Boskie nominacji“ i utrzymywał, że ten uniwersał „pisał niebieski kanclerz Gabryel w domu Nazareńskim“ drugi rozdawał: „dystrybutę wakansów duchownych do tronu nowo - ukoronowanéj Najjaśniejszéj królowéj nieba i ziemi.“ Wszędzie w tych kazaniach pełno legend, powiastek, opowiadań, przysłów, żartów, wierszy polskich i łacińskich. Ten uniwersał i dystrybuta wakansów i ten kanclerz niebieski Gabryel, są to polskie najszczersze wymysły i podobieństwa. Jak dawniejsi kaznodzieje z XVII wieku, tak i dzisiejsi, z mniejszym talentem może jak Birkowski i Młodzianowski, Polskę i zwyczaje nasze wszędzie apoteozowali, w ziemi świętéj widzieli sejmy i senatorów, w Chrystusie bodaj nie króla polskiego. Przynajmniéj Najświętsza Panna była królową i pełniła jéj obowiązki, kiedy jak każdy król polski brała się zaraz po koronacji do „dystrybuty wakansów.“ Jakże jéj obejść się było bez kanclerza? Wielkiéj dostojnicy nie mógł na niebie wystarczyć kanclerz koronny lub litewski; dobry był dla króla na ziemi. Ale po staropolsku N. Panna musiała mieć zawsze kanclerza i tego jéj wyszukał

ksiądz Cezary od świętego Józefa zwykły kaznodzieja Pijarów łowickich, na koronacji w Częstochowie. Był nim archanioł Gabryel, ten sam co Jéj zwiastował, że pocznie i porodzi syna. Ksiądz Urbanowski uroił sobie, że na koronacji Jarosławskiéj odbywał się sejm pacyfikacyjny, na którym stanęła „aukcja wojska niebieskiego.” Była to widoczna alluzja do spółczesnych gorących starań Rzeczypospolitéj o powiększenie wojska, sejmy się rwały raz wraz na tak zwanéj rzeczywiście „aukcji.“ Ksiądz Urbanowski to wojsko niebieskie, które uchwalono wystawić na sejmie pacyfikacyjnym jarosławskim, oddawał pod komendę wszystkich czterech hetmanów Rzeczypospolitéj, Branickiego, Radziwiłła, Rzewuskiego i Massalskiego „wielkiéj dzielności wodzów;“ daléj regulował ją „artykułami kaznodziejskiemi“ jak wojskowemi, wołał ją „od werbunku infanterji przez Heroda do munduru niebieskiego.“ Sama wszędzie alluzje (Jocher, III str. 481). Kaznodzieje ci tak gorąco się zapalali, że np. ksiądz Frydrychowicz dominikan wygadać się nie mógł w Częstochowie; kazanie jego 16 arkuszy obejmuje w druku (Jocher, obraz III str. 626). Musiałoż trwać z pięć godzin. Po tém możemy brać miarę pobożności tłumów; tłumy słuchały kazań w milczeniu, a z nabożeństwem. Kazania te po największéj części wychodziły luźno i dopiero zbierano je razem i zszywano w jednę księgę. Zbiór Podkamienieckich mówców wyszedł z pod „straży czułego zakonu kaznodziejskiego szczeniuka“ (Jocher, III str. 499). Sądził pobożny zakonnik, że największy dał dowód miłości dla królowéj nieba i ziemi, skoro się porównał ze szczeniukiem. W późniejszych czasach takie koncepta trąciły pochlebstwem, za saskich czasów były dowodem gorliwości dla kościoła. W obudwu razach ludzie przebierali miarę świadomie lub nieświadomie, ale upodlali się przed potęgą, któréj wyższość uznawali nad sobą.

Te pobożne mnichy, szczeniuki z drogiemi perłami kazań, rozrzucali między owe massy narodu, co się zbiegały na koronacje, oprócz książeczek ze spisem cudów, ryciny i medale na pamiątkę. Czasem te ryciny wytworną były zdziałane sztuką. Najpiękniejszy tutaj pomnik za staraniem fundatorów dostał się koronacji Berdyczowskiéj. Teodor Rakowiecki około 30[tu] rycin wykonał i wysławił na nich cuda Najświętszéj Panny Berdyczewskiéj, oraz ozdoby kościelne podczas koronacji obrazu (Jocher, III str. 623). Medale pierwszy raz pojawiły się w Sokalu. Bywały nie jednego stępla, co dowodziło oczywiście większego nakładu. W Berdyczewie rozdawano złote, srebrne i mosiężne medaliki siedmiu odmiennych stępli; był i ósmy, bity przez Ożgę biskupa kijowskiego, ale być może, niezdołano tylko na czas go sporządzić, gdy opis koronacji zamilcza o tém. Wielkie przywileje przywiązane były do tych *mentalików*, jak je lud nazywał, czyli do *koronatek*, jak je znowu nazywała szlachta. Niedosyć, że były poświęcane w Rzymie, więc z tego względu zasługiwały na cześć pobożnych, ale Ojciec święty przywiązywał do nich odpust na ostatnią chwilę życia. Dla tego koronatki wszyscy nosili na piersiach, dla tego umierali z niemi i brali je z sobą do grobu pobożni; dla tego te mentaliki dzisiaj są tak rzadkie, nawet po bogatych zbiorach numizmatycznych.

Nic świetniejszego, jak obchód koronacji obrazu u Dominikanów we Lwowie w roku 1751. Z jednego obrzędu, będziem łatwo mogli wnieść o wspaniałości drugich. Wybraliśmy dla tego umyślnie najjaskrawszy, taki, co może najwięcéj upajał się wonią religijnych uniesień ludu. Była to podobno 15[ta] z kolei w Polsce koronacja. Historyk dorachował się w niej dopiero 10[téj], z dawniejszych zatém pięciu doszukać się nie mógł. (Tym. Lipiński, w Bibl. Warsz. 1849 r. IV str. 456); koronacje obrazów były więc w Polsce jako myt i rozpływały się w powietrzu.

I obraz lwowski był malowidłem świętego Łukasza. I we Lwowie jak gdzieindziéj fundatorami koronacji byli Potoccy. Hetman wielki koronny kasztelan krakowski Józef, sławny stronnik Leszczyńskiego, człowiek, który jeszcze młodym będąc marzył o księstwie udzielném na Pokuciu, na starość obrońca zacięty szlacheckich wolności i hetmańskiéj buławy, człowiek, co za tém szło bardzo pobożny, bo staroświeckiego na świat poglądu, popierał głównie koronację lwowską. Umarł niedoczekawszy

się jednak uroczystości. Bo chociaż 10 Grudnia 1749 roku jeszcze papież dał pozwolenie na koronację, jednakże świetne przygotowania trwały półtora roku i hetman stary nie widział obrzędu: umarł w maju, a koronacja odbyła się w początkach lipca, o miesiąc tylko jeden uprzedził ją, a byłby inaczéj umierał wśród woni nabożeństw. Za to syn jego jedynak Stanisław wojewoda kijowski, podjął się uroczyście nakładu, ażeby zaś nie straciła co na tém koronacja, że ją hetman opuścił, następca Potockiego w buławie Jan Klemens Branicki obiecał przysłać wojsko. Bo wojsko wtenczas własnością hetmańską było. Hetman mógł go używać dla spraw swoich lub cudzych prywatnych i niktby mu ani słówka o to nie powiedział, buława wtenczas była źrenicą wolności, jak drugie weto.

Ale Stanisław Potocki nie był sam jeden dobrodziejem koronacji we Lwowie. Wszystko co tylko miała w sobie Rzeczpospolita największego, panowie i panie, jak grad rzucali pieniądze i zbierali składki dla podniesienia koronacji we Lwowie. Jedną ofiarą możnaby odbyć okazale uroczystość, a tutaj było ich tyle! Wszyscy przeczuwali, że się ma na wspaniałość, jakiéj dotąd nie widziano nawet w Częstochowie. Samych Potockich, mężczyzn i kobiet, co składali się na koronację, było jedenaście osób, jeżeli nie policzym ich krewnych, z których każdy pospieszał z ofiarą. Starosta Kołomyjski i sławny Kaniowski, pierwsi byli po wojewodzie kijowskim, głównym dobrodzieju. Miasto tymczasem wznosiło bramy tryumfalne, ratusz i wieże cudnie przyozdabiało; wszędzie widać było malowidła, obicia, piramidy i godła. Każdą bramę, których było ośm, kto inny własnym nakładem wystawił. Co trzecia kamienica, była Najświętsza Panna w przezroczach. Wizerunki znakomitości polskich w innych miejscach gęsto świeciły. Zaczęli nareszcie schodzić się ludzie. Zbierały się wojska koronne w Białohoszczy i obozem rozłożyły się na błoniu pode Lwowem; w tém miejscu kiedyś odbywały się sejmiki. Było 12 chorągwi husarskich i 12 pancernych, pułk dragonów buławy wiel. kor. i pułk piechoty, chorągwie janczarskie buławy wiel. kor. i załoga lwowska. Rozbito w polu namioty, jeden na ołtarz, drugi dla koronatora, którym oczywiście mógł być tylko miejscowy pasterz Mikołaj Wyżycki arcybiskup lwowski, jednakże dla większéj powagi miał na to upoważnienie z Rzymu, inne namioty rozsypane na błoniu były dla panów. Wszystkie przybrały się w perszczyznę, makaty i kobierce, przysłał te stroje z Nieświeża książe Michał Radziwiłł Rybeńko hetman wielki litewski wojewoda wileński.

Uroczystość zaś sama w następujący się sposób odbywała. Przeor dominikański oddawał u Franciszkanów w mieście korony rzymskie wnukom zmarłego hetmana Potockiego wojewodzicom kijowskim, bo i ojciec wojewoda, dobrodziej koronacji, zachorował. Dzieci przy trąbach i kotłach, wśród nieustannego bicia z dział, otoczone gronem senatorów, rycerstwa i tłumami ludu, niosły te korony do kościoła dominikanek, w którym czekał arcybiskup z licznéem duchowieństwem, w obec także kilku senatorów duchownych, to jest biskupów, rycerstwa i ludu. Dzieci oddając arcybiskupowi korony, przemawiały stósownie do niego, arcybiskup znowu do dzieci. Zaśpiewano następnie *Te Deum* i zaczęła się processja pod namioty na pole. Tam wśród nabożeństwa, złożył arcybiskup korony i zostawił je pod strażą sześciu księży i wojska. Taki był przeddzień koronacji.

Nazajutrz mająca się odbyć uroczystość była naprawdę święta, rzewna i familijna. Byli tam pode Lwowem na koronacji Królowéj Polskiéj biskupi łacińscy i ormiańscy, ob rządków katolickich, byli djecezjalni i suffraganowie, obok nich byli opaci, były obiedwie kapituły lwowskie, obiedwie przemyślskie, kijowska i kolegjata żółkiewska. Kapituła kijowska przybyła ze swoim biskupem, staruszkiem Samuelem Ożgą. Pośpieszyły zewsząd processje z muzyką i z chorągwiami ze Lwowa, z okolic, z Trębowli, ze Strumiłowéj-kamionki, z Buska, z Krotoszyna, Kościejowa, Dawidowa, Jaworowa i Mościsk. Z Żółkwi przyszły cechy. Zewsząd bractwa, kongregacje. Co chwila przemijali się różnych kolorów i reguł kapłani, w kafowych, białych i czarnych habitach.

W dzień koronacji, 2 Lipca 1751 roku arcybiskup pod namiotami zaśpiewał radośnie: Regina coeli laetare, Alleluja! Na

to hasło ozwały się dzwony całego Lwowa, po nich zaraz wszystkie działa zagrzmiały, ryknęły trąby i kotły i zaczęła się uroczystość. Potoccy, sami Potoccy rozrzucali garściami pomiędzy lud, pamiątkowe medale złote, srebrne i miedziane, czterech różnych wielkości. Dominikanie ze swojéj strony rozrzucali medaliki w Rzymie poświęcane przez papieża, z koronami razem przywiezione. Arcybiskup błogosławił świat na cztery strony, a protonotarjusz apostolski akt koronacji spisywał. Następnie ruszyła processja do miasta. Wszystkie cechy szły z chorągwiami, jedne w pancerzach, drugie w zbrojach, inne w skórach lamparcich. Bractwa i processje z okolic poprzedzały duchowieństwo. Po kilkadziesiąt par było księży każdego zakonu. Daléj wojsko różnéj broni i mundurów. Niesiono relikwje 152[ch] świętych z Rzymu przysłane. Potém szła arka z karmazynowego aksamitu, suto złotem ozdobiona, na niéj spoczywał obraz cudowny, który niosło 12 księży. Książęta, wojewodowie, senatorowie prowadzili pod rękę księży i pomagali nieść ciężar. Orszak panów, których niezmiernie było wiele, otaczał zewsząd święty obraz. Processja rozciągnęła się na tak szerokiéj przestrzeni, że początek jéj wstępował do kaplicy Bożego Ciała, a obraz jeszcze nie ruszył się z miejsca pod namiotami. Dla nabożnych nie wystarczały ulice i place, zalegli piętrami wszystkie okna i dachy. Nareszcie kiedy obraz stanął w swoim kościele, arcybiskup zaśpiewał *Te Deum*, po którém nastąpiło kazanie. W południe ucztę dla ludu w czterech miejscach sprawiali panowie. Nieszpory dzień zakończyły.

Tak całą oktawę święcono koronacją Najświętszéj Panny we Lwowie. Mnóstwo odprawiono przez ten czas Mszy, kazania bywały rano i po południu. Nie można przecisnąć się było od tłumów do spowiedzi i komunji. Ludność roztrychała się pomiędzy 55 kościołów, a wszędzie jéj było pełno. Co noc palono illuminacje. Łuny biły tak szeroko, że zdawały się jednym ogniem; myślałby kto z daleka, że Lwów gorzał. Codzień po ulicach Lwowa snuły się processje bractw i cechów, każdy cech niósł swoje ofiary, wyroby złote lub srebrne. Palestra, sieroty od szarytek, dzieci, służące, wszystko to zbierało się na osobne processje. Takie wspaniałe obrzędy nie mogły prędko się ulotnić z pamięci narodu. Otóż nie kończyło się na oktawie umyślnie na ten cel ustanowionej. Doroczne nabożeństwa przypominały w różnych miejscach świetny obrzęd, w którym cały naród brał udział: w kościołach nabożeństwem, w domach prywatnych modlitwą obchodzono rocznice. Michał Potocki starosta trębowelski, synowiec sławnego księcia prymasa, co to go wielkim nazywano, u Dominikanów kamienieckich, ufundował doroczne nabożeństwo na pamiątkę, w sam dzień koronacji lwowskiéj. Zawsze Potocki. Nowy dowód, jak wielce szanowano te pamiątki, te familijne, jak powiedzieliśmy, uroczystości na koronacji lwowskiéj.

Za Stanisława Augusta już widocznie inny płynął prąd wyobrażeń religijnych, koronacje są więcéj pamiątką, wspomnieniem, staropolszczyzną, więc świetném tylko wspomnieniem. Koronacje są dalszym ciągiem czasów saskich i prowadzą je ludzie póki mogą, póki wiary w cudowne obrazy narodowi starczy. Dziewięć ich tylko było. Wszystko co z postępem wyobrażeń szło, nie lubiło tych koronacji, tych świetnych obrzędów, na których zapoznawały się dzieci stron różnych. W pojęciach téj oświeconéj klassy, obrzędy podobne były fanatyzmem. Dla tego, chociaż ogół narodu przeważnie jest religijny, koronacji takich, jakie były we Lwowie i w Berdyczowie już nie ma. Dusze ostygły, głowy zeskąpiały, ręce opadły. Jako pierwszą oznakę tego usposobienia, które nawet i do niższych stref społeczeństwa sięgało, smutny widzimy wypadek, że w lat siedm po koronacji Leżajskiéj skradziono obrazy. Przepadły wtedy dwie korony szczerozłote, sygnety, perły i wszystek bogaty przystrój Najświętszéj Panny (Bibl. War. rok 1849, IV str. 457).

Koronacja Krakowska nie przychodzi do skutku dla braku funduszów, chociaż są o niéj ryciny i medaliki rzymskie (1764 r.). Na koronacji Miedniewickiéj rozdawano tylko obrazki, medalików wcale nie było (1767 r.). Dobrodziejów już trzeba było prosić o nakład, jaki chętnie przed chwilą sami dawali. Na ten cel odbywały się na-

wet wotywy, „ażeby Pan Bóg natchnął jaśnie wielmożnych i wielmożnych dobrodziejów.“ (Tym. Lip. w Bibl. Warsz. 1849 r. IV str. 466). Niewiadomo nawet czy się znaleźli. O Dermańskiéj koronacji, która się odbyła w roku 1765 nie mamy nawet żadnéj wiadomości w pismach publicznych, odbyła się widać niespostrzeżenie (nie ma jéj nawet i Tymoteusz Lipiński). Poczajowską w r. 1773, sprawił sławny rozpustnik Mikołaj Potocki, dawniejszy starosta kaniowski, który przez dziwny kaprys na starość został pokutnikiem w klasztorze bazyljańskim. Fantazja zatém, chorobliwy stan umysłu, usposobienie chwilowe fundatora było powodem téj koronacji, chociaż w ogóle to powiedzieć potrzeba, że ex starosta kaniowski należał do celniejszych reprezentantów staropolszczyzny, i że za czasów saskich przykładał się prawie do każdéj koronacji na Rusi. Krasiński biskup kamieniecki miał wysłuchać „zakonne i powszechne ludu djecezji żądanie“ i wyrobił w Rzymie pozwolenie na koronację obrazu Latyczewskiego, ale jednak ani sam, ani suffragan nieodbywał téj uroczystości, która się odbyła wśród głębokiéj ciszy. Żmudź święta pośpieszyła ostatnia, ale korony do obrazu Szydłowskiego sporządził własnym kosztem ostatni może pobożny biskup tych czasów (Tadeusz Bukaty roku 1786). Jedna może Chełmska koronacja wieje wonią religijną dawnych czasów, ale uleciała z niéj już wszelka dawnych czasów wspaniałość.

Kilku faktami statystycznemi zamkniemy ten obraz. — 28 znanych jest koronacyj w dawnéj Polsce. Najbogatsze koronacjami są kościoły zakonne, w zakonach zatem najwięcéj pobożności. Dominikanie zaś najulubieńszym są zakonem dla Najświętszéj Panny, bo w pięciu kościołach u nich cudami zasłynęła. Potém zaraz idą Bernardyni z cztérema swojemi kościołami; Bazyljanie i Karmelici mają po trzy, Franciszkanie i Reformaci po dwa, Paulini, Kapucyni, Jezuici i Bernardynki po jednym. Jedyny żeński klasztor w Wilnie miał ukoronowany obraz. Jezuici mieli także jeden. Nieprzyjaciele tego zakonu chcieliby wszędzie go widzieć na czele wszystkiego, co fanatyzmem i obrzędowością trąci, otóż tutaj muszą ustąpić przed prawdą. Dominikanie i Bernardyni od Jezuitów gorliwsi. Rzecz dziwna, że w kościołach świeckich tak mało cudownych i ukoronowanych obrazów: cztery parafje Nowe-Troki, Kodeń, Chełmno i Szydłów i jedna katedra w Chełmie takiemi klejnotami poszczycić się mogą.

Julian Bartoszewicz.

POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

— Ale czyż bez tego nie mogę ci w niczém dopomódz panie Kartonie? czy nie mogę podać ci ręki i wybacz że tak mówię, na lepszą naprowadzić cię drogę? Powiedz, czem ci się odpłacę, za to poufne zwierzenie, bo wiem, rzekła nieśmiało i ze łzami w oczach, że nikomu byś niepowiedział tego, co mnie mówiłeś przed chwilą. Pragnęłabym gorąco obrócić na twoją korzyść zaufanie, które położyłeś we mnie.

Karton ruszył smutnie głową.

— Jeżeli raczysz wysłuchać mię do końca pani, zrobisz już dużo i więcéj nikt dla mnie zdziałać nie może. Wiedz więc o tém, że byłaś ostatnim snem mojéj duszy. Ty jedna miałaś taką moc nademną, że nawet w mym upadku widok twego oblicza, budził w mojéj duszy głos sumienia, które sądziłem, że już zamilkło na zawsze, gdy usłyszałem, niby dźwięk dawnéj pieśni, która mię przyzywała i podnosiła wyżéj; wtenczas to marzyłem o walce, o zrzucaniu jarzma zmysłowych więzów; marzyłem o przeniesieniu się na to pole bitwy, które opuściłem tak dawno, ale były to marzenia i czcze tylko marzenia.

— Czy nic już z tego nie zostało panie Kartonie? Jeżeli, jak sam powiadasz, wywarłam taki wpływ na ciebie, czyż nie mogę się teraz jeszcze przyczynić do twego dobra?

— Najwyższém dobrem jakiego mogę doświadczyć jeszcze, będzie wspomnienie chwili, w któréj odkryłem ci moje serce i ta myśl, że obudziłem litość w twojéj duszy nad moim nędznym losem.

— A ja pragnęłabym najgoręcéj obudzić wiarę w tobie, że ten los może odmienić się jeszcze na lepsze i że do zacniejszych stworzony jesteś celów.

— Nie staraj się napróżno upewniać mię o tém panno Manette, o czém ja powątpiewam najmocniéj. Ale widzę, że niepokoję cię i zasmucam napróżno, więc zakończę rzecz moję prędko. Upraszam cię tylko o to najgoręcéj, ażeby tajemnica, którą ci wyznałem, pozostała ukrytą w twojém niewinném sercu i ażeby nikt drugi niedowiedział się o niéj.

— Panie Kartonie, rzekła Łucja wzruszona, tajemnica jest twoją nie moją własnością, bądź więc pewnym, że ją szanować będę.

— Dzięki pani i niechaj ci Bóg odpłaci za to; to powiedziawszy, przycisnął jéj rękę do ust, poczém ku drzwiom się przybliżył, ale odwrócił się raz jeszcze, a widząc, że panna Manette miała łez pełne oczy, rzekł:

— Nie ubolewaj nademną pani, bo nie zasłużyłem na łzy twoje, za kilka godzin powrócę znowu do dawnéj nędzy, do tych nawyknień, któremi pogardzam, ale którym oprzeć się nie jestem w stanie. Ale pomimo całego mego poniżenia, pozostanę zawsze z tém samém uczuciem dla ciebie i błagam cię pani, niepowątpiewaj o tém.

— Wierzę, panie Kartonie.

— Oto wszystko, co chciałem ci powiedzieć, a teraz nie będę ci dłużéj natrętnym, bo wiem, że mnie oddziela od ciebie przestrzeń nieprzebyta. Nie będę cię nachodzić i naprzykrzać się mojém wyznaniem, ale czuwać nie przestanę nad tobą i nazwę się szczęśliwym jeszcze, jeżeli będę mógł wyświadczyć jaką przysługę tobie, lub tym, których kochasz, wkrótce może się połączysz węzłem, co ci przyniesie pociechę i radość, a kiedy przyjdzie czas, w którym zostaniesz matką i ujrzysz swą pierwszą wiosnę, wskrzeszoną w obrazie igrającego u twych stóp dziecka, wtenczas wspomnij czasami, że jest człowiek, który w każdéj chwili, gotów poświęcić się dla ciebie i dla najukochańszéj ci istoty. To powiedziawszy, Sydney Karton, zakończył słowami: bądź zdrowa i niech cię Bóg błogosławi; poczém wyszedł z pokoju Łucji.

VII.

W Paryżu, w sklepie pana Defarge wcześniéj niż zazwyczaj, bo o godzinie szóstéj z rana było już kilku gości, którzy spijali wino. Trzeba wiedzieć, że wino pana Defarge miało szczególną własność w tym czasie, że nie rozweselało umysłów, ale raczéj paliło wewnątrz i oddziaływało w burzliwy sposób, na usposobienie tych którzy go kosztowali.

Nie wszyscy goście w sklepie pili wino, byli tam także i tacy, którzy siedzieli w kącie i bawili się tylko rozmową, ale wyraz w oczach i na twarzy każdego był złowróżby i tajemniczy. Samego właściciela handlu nie było cały ranek w sklepie, a tylko żona jego siedziała za kantorem i sprzedawała wino. Dopiero w południowéj godzinie przybył sam pan Defarge z drugim towarzyszem, a powracali zapewne z dalekiéj wycieczki, bo od stóp do głowy byli pokryci kurzem. Przybycie dwóch wspomnianych osób, sprawiło na przedmieściu Świętego Antoniego duże wrażenie, przypatrywano im się ciekawie z drzwi i okien domów, ale nikt nie pośpieszył za niemi skoro wchodzili do sklepu.

— Dobry dzień panowie, rzekł Defarge.

Zdawało się że powitanie kupca było hasłem do ogólnéj rozmowy, bo wszyscy odpowiedzieli zgodnie: dzień dobry.

— Źle się dzieje, rzekł Defarge ruszając smutnie głową. Spojrzeli się obecni jeden na drugiego, poczém spuścili oczy i usiedli w milczeniu; jeden tylko z całego towarzystwa powstał i wyszedł ze sklepu.

— Moja żono, rzekł Defarge głośno, spotkałem się przypadkiem z tym oto poczciwym dróżnikiem, który się zowie Jakóbem i podróżowaliśmy z sobą mil kilka. Podaj mu szklankę wina, bo bardzo zacnym i poczciwym jest człowiekiem. Druga znów osoba powstała i wyszła ze sklepu, a pani Defarge postawiła butelkę z winem przed dróżnikiem, który zdjął z głowy niebieską czapkę i pokłonił się towarzystwu, poczém wyjął z zanadrza kawał czarnego chleba i jadł i popijał usiadłszy tuż obok pani

Defarge. Trzeci gość powstał i wyszedł z handlu winnego.

Defarge wychylił także lampkę wina i jak się zdawało czekał aż towarzysz jego ukończy śniadanie; a cisza panowała do koła i nikt nie rozmawiał nawet pani Defarge nie patrzała na nikogo cała zajęta robotą, którą niedawno wzięła do ręki.

— Czy ukończyłeś już twoje śniadanie przyjacielu? zapytał Defarge.

— Już ukończyłem, Bóg zapłać panie.

— Pójdź więc ze mną, pokażę ci pomieszkanie, które przeznaczam dla ciebie.

To powiedziawszy wziął go za rękę i zaprowadził przez dziedziniec po schodach do pokoju, w którym mieszkał niegdyś zamknięty nieszczęśliwy więzień pan Manette. Zbliżywszy się do drzwi spotkali trzech ludzi, którzy przed chwilą wyszli ze sklepu, a byli to ci sami, co niegdyś przez szpary przypatrywali się więźniowi, kiedy ten jeszcze mieszkał w domu Defarga. Właściciel handlu roztworzył drzwi i mówił tajemniczym głosem: oto jest świadek którego spotkałem w drodze; on wam opowie o wszystkiém. Mów Jakóbie!

— Od czego mam zacząć? zapytał dróżnik obcierając niebieską czapką czoło

— Od początku, odpowiedział Defarge.

— Już upływa rok od czasu, kiedy widziałem wysokiego wzrostu człowieka, który uwiesił się u łańcucha pod powozem markiza powracającego do dóbr swoich z Paryża było wtedy już nad zachodem słońca i ja ukończyłem mą robotę, a powóz zjeżdżał zwolna z pagórka. To powiedziawszy wskazał w jakiém położeniu ten człowiek był zawieszony pod powozem.

Pierwszy zapytał się czy go przed tém nie widział nigdy.

— Nigdy, odrzekł prostując się dróżnik.

Trzeci spytał jakim sposobem rozpoznał go potem.

— Po wzroście, odpowiedział. Kiedy pan markiz mię zapytał do kogo on podobny, odpowiedziałem: wysoki jest jak widmo.

— Powinieneś był powiedzieć: kusy jak karzeł, rzekł drugi.

— Zkądże mógłem się domyślać, jakie ten człowiek ma wykonać dzieło kiedy z niczém mi się pierwéj nie zwierzył? a zresztą, pan markiz tak groźnie pokazał na mnie palcem i zawołał: „przyprowadzić do mnie zaraz tego łotra!“ Pomimo tego, wierzajcie mi panowie, że nic a nic więcéj niepowiedziałem coby mogło wypaść na niekorzyść jego.

— Ma słuszność, rzekł Defarge, opowiadaj daléj.

— Dobrze, rzekł dróżnik. Nie mogli dość długo znaleźć i szukali go napróżno, nieprzypominam sobie, dziewięć, dziesięć czy jedenaście miesięcy......

— Mniejsza o to jak długo, dość że w końcu znaleźli go na nieszczęście; mów więc daléj, podchwycił Defarge.

— Powracałem już późno nad zachodem słońca do chaty, po ukończeniu całodziennéj pracy, aliści widzę sześciu żołnierzy, a między niemi wysokiego wzrostu człowieka, którego ciągnęli za sobą związanego postronkami; zobaczywszy to, stanąłem za nasypką z kamieni i przypatrywałem się uważnie. Sześciu żołnierzy, których cienie rysowały się na drugiéj stronie, niby cienie olbrzymów, zbliżyli się do mnie i rozpoznałem z twarzy więźnia, był to ten sam człowiek, którego widziałem przed rokiem pod powozem markiza i zdaje mi się, że i on mię poznał także, ale ani ja, ani on nie pokazaliśmy tego. Żołnierze i ich więzień pokryci byli kurzem, a dowódzca oddziału wskazawszy ręką ku stronie wioski, zawołał: ciągnijcie go prędko do jego grobu — i pociągnęli go za sobą szybko, a ja pobiegłem za niemi. Więzień okulał, a więc nie mógł nadążyć za niemi, lecz żołnierze nie zważali na to i wlekli go za kolbą, do któréj był przywiązany; ręce jego nabrzmiały od postronków, a gdy puścili się z nim wcwał jak szaleni z pagórka, on upadł jak nieżywy na ziemię. Widząc to żołnierze, śmieją się i ciągną go za sobą, kiedy on we krwi broczy i tarza się w prochu; nareszcie przybywają do wsi, otwierają drzwi więzienia i wrzucają go do ciemnéj nory. Ludzie ze wsi widzieli pokaleczonego więźnia i gwarzyli i szeptali pomiędzy sobą, a kiedy rozeszli się do domów i sen im zamknął powieki marzyli zapewne o nieszczęśliwym, zamkniętym w lochu, z którego człowiek na śmierć tylko wyjść może. Nazajutrz, spożywając na śniadanie kawał czarnego chleba zbliżyłem się do więzienia, widzia-

łem tego człowieka z zakrwawionėm licem przez kratę, ale nie śmiałem przemówić do niego ani słowa, on zaś patrzał na mnie jak obłąkany.

Wszyscy przez czas tego opowiadania zachowywali ponure milczenie, twarze ich były pochmurne, a oczy pałały zemstą. Defarge zauważawszy, że dróżnik zatrzymał się w ciągu powieści, zawołał:

— Daléj, kończ Jakóbie!

— Zbierali się około więzienia ludzie i mówili, że może winowajca nie będzie karany śmiercią, bo słychać jakoby podali jego krewni do króla prośbę, nadmieniając że ten człowiek dostał pomieszania zmysłów, z powodu śmierci dziecka stratowanego przez konie markiza. Tak prawili ludzie, ale czy to jest prawdą, nie wiem.

— Potém mówili znowu, że więzień za to że zabił markiza, będzie karany jako ojcobójca, że naprzód spalą mu prawą rękę, potém będą lać kipiący olej na rany, roztopiony ołów, wosk i siarkę; nareszcie przez cztery konie będzie poszarpany na kawały. To mówili i wiele innych rzeczy, aż w końcu pewnéj niedzieli, przyszli żołnierze w nocy i otoczyli więzienie, a z niemi robotnicy, którzy kopali i pracowali noc całą, aż nad rankiem wykończyli szubienicę, na czterdzieści stóp wysoką. Nazajutrz, całe rano nie było żadnéj roboty w polu, lud zbierał się tłumnie na około zdroju, nad którym stała szubienica. Wyprowadzono w południe więźnia i uderzono w bębny. Winowajca był skrępowany jak pierwéj, a w ustach miał ogromny knebel, który w ten sposób był przywiązany do twarzy, że zdawało się jakoby więzień się uśmiechał. Na wierzchu szubienicy był utkwiony nóż z jednéj, a miecz z drugiéj strony, obrócony ostrzem w górę. — Powiesili więźnia na szubienicy, na czterdzieści stóp od ziemi wysoko, nad zdrojem, z którego czerpią wodę. Ale to okropnie panowie, bo trup wisielca zatruwa źródło i nikt z niego teraz nie odważy się brać wody. Ostatniego wieczora, nim opuściłem wioskę, kiedy spojrzałem do koła, widziałem cień jego przed kościołem, przed domem pocztowym i więzieniem i zdawało mi się, że się suwa przed memi oczami na około téj całéj ziemi.

Jeden ze słuchaczów ugryzł się w palec jakby w przystępie strasznego głodu.

— Oto jest wszystko panowie, co miałem do powiedzenia. Zrobiłem jak mi kazano, wyszedłem ze wsi zaraz po zachodzie słońca i podróżowałem po wskazanéj mi drodze noc całą i pół dnia następnego, aż spotkałem się z tym obywatelem. Cały dzień wczorajszy i noc ostatnią podróżowaliśmy razem, aż w końcu jak widzicie stanęliśmy u kresu podróży.

— Dobrze, rzekł po chwili ponurego milczenia Defarge, opowiedziałeś nam rzecz całą wiernie, teraz powiedz czy zechcesz wydalić się na stronę i poczekać trochę za drzwiami?

— I owszem, odpowiedział dróżnik, poczem Defarge odprowadził go do wschodów, a sam powrócił do grona towarzyszy.

Kiedy wszedł do komnaty zastał ich zbliżonych do siebie i naradzających się po cichu.

Jak myślisz, czy mamy poprzestać na tem? zapytał jeden z nich.

— Zapisać na liście zniszczenia, odparł Defarge.

— Wybornie, wspaniale, ozwał się drugi.

— Zamek i ród ich cały? zagadnął pierwszy.

— Zamek i ród ich cały ma być zniszczony i wytępiony, rzekł Defarge.

— Pysznie! odpowiedział człowiek, który zdawał się być zgłodniały i zaczął ogryzać drugi palec.

Po téj rozmowie zakończyła się dnia dzisiejszego narada i Defarge pożegnał przyjaciół. Dróżnikowi, który zasnął na wschodach, wskazał pomieszkanie i łóżko, na którém jak się należy spodziewać spoczął wkrótce wieśniak smacznie i spokojnie.

Parę dni następnych przepędził dróżnik wygodnie w handlu pana Defarge a nawet można powiedzieć, że znajdował dość upodobania w tym nowym dla siebie rodzaju życia, gdyby tylko nie osoba saméj pani któréj widok nie miłe sprawiał na nim wrażenie; niepokoił go nadewszystko tajemniczy wyraz jéj milczącéj twarzy i gubił się nieraz w dociekaniu, o czém i nad czém ona po całych godzinach rozmyślać może. Im więcéj się jéj przypatrywał tém większą postać ta w jego umyśle budziła

trwogę, nie dziw więc, że nie zadowolony był wcale, kiedy mu pan Defarge oświadczył w niedzielę, że i żona towarzyszyć im będzie do Wersalu, dokąd mieli się udać w celu pokazania wieśniakowi świetności i bogactwa dworu. Kiedy stanęli na miejscu, gdzie liczny tłum ludu oczekiwał na przejazd królewskich powozów, dziwiło to i niepokoiło dróżnika wielce, że pani Defarge miasto przyglądać się temu, co się na około niéj dzieje, stała ze spuszczonemi oczami, z robotą w ręku i znaczyła ściegi.

— Jak uważam pani pracujesz pilnie? zapytał się jeden z tłumu.

— Tak jest, pracuję, bo mam dużą robotę przed sobą.

— Czy wolno zapytać się nad czem pani pracujesz?

— Nad wielu rzeczami.

— Naprzykład?

— Naprzykład — powtórzyła pani Defarge poważnie, robię całuny.

Człowiek, który dawał pytania usłyszawszy odpowiedź pani Defarge, uciekł od niéj jak mógł najdaléj. I dróżnik nie oczekiwał dłużéj na przyobiecane mu widowisko....

(D. n.)

O UBIORACH.

Kiedy my w Warszawie ubieramy się już w nasze długie obszerne salopy z futrem, w Paryżu kobiety kładą zaledwie syberynowe okrycia jakie widzieć można na naszéj rycinie. Krój wszakże tych okryć znany jest u nas tak dobrze jak w Paryżu; kolej żelazna bowiem bardzo spiesznie roznosi pomysły zrodzone w stolicy Francji. Dajemy tu szczegół często już powtarzany co do ceny okryć, że z wyborowego gatunku i obszerne kosztują od 30, do 40 rubli, lżejsze burnusy zawsze bardzo eleganckie 20 i 25 rubli się płacą, a czasem nawet tylko 18. Kapelusze jak uważać można na rycinie, nie wiele się odmieniły; zwężone u twarzy suto ubrane nad czołem, mają zwykle karczek tworzący ząb; dają też karczki po bokach jedwabne, a w środku koronkowe, lub też niefałdowane, krajane kolisto. Cen ich, wyrażonych w przeszłym zeszycie nie mamy co powtarzać. U pani Włodkowskiéj są gotowe salopy na futro z czarnego repsu po 21 do 23 rubli, z piękniejszego zaś także wełnianego materjału rsr. 33. Kształt tych salop jest taki że przód z jednéj sztuki u dołu w kliny ścięty, tył zaś ułożony w dwa duże kontrafałdy i przyszyty do karczka; rękawy są takie jakich rysunek dałyśmy na tablicy listopadowéj. Chcąc podobną salopę mieć przesłaną, dosyć jest nadesłać miarę długości. W magazynie pana Szklenkera, oglądałyśmy także gotowe wierzchy na futro z materji jedwabnych, zrobione kilkorakim kształtem. Kapturków z wełny wigoniowéj więcéj się jeszcze w tym roku niż w zeszłym namnożyło. Ciepłe to i lekkie okrycie na głowę, dobre szczególniéj do powozu, bywa fantazjiną mieszaniną białego z czarném, a sprzedaje się po 3 i 4 a nawet 2 ruble jeżeli mniejsze. Do chodzenia piechotą najlepsze są zawsze kaptury jedwabne watowane. Niektóre z naszych prenumeratorek piszą do nas o przysłanie im takowych po 5 rubli i kładą jeszcze warunek żeby były z dobrego materjału, co jednak jest niepodobném. Kaptur za 6 rubli jeszcze bardzo elegancki nie będzie, niższéj zaś ceny są z tak lekkiego materjału że przez to nietrwałe. Atłasowy 50 i 60 złp. kosztować będzie, o bardzo zaś eleganckich mówiłyśmy w poprzednim zeszycie że jeszcze droższe.

Kaftaniczki i paletociki do pokoju sprzedają się licznie, szczególniéj zaś ładnie wyglądają obszyte kasztankami czarnemi. Cena tych ciepłych okryć rozmaita, od 12, do 20 rubli. Nieco dłuższy paletot do pokoju ze świecącemi guzikami pięknie odrobiony, kroju znanego we Francji pod nazwą *saut en barque* ceniono nam złp. 140. Bardzo dobrze wygląda paletocik którego formę dałyśmy na tablicy zeszłego poszytu. Tutaj jeszcze objaśniamy nasze czytelniczki że się robi z cienkiego kortu i obszywa czarną mantyną w ukosy krajaną. Z tyłu i na szwach bocznych, to obszycie podniesione do wysokości ośmiu cali ma przy sobie po trzy guziki rzędem naszyte. Na rękawach, na kieszonkach także guziki, jak również i na przodzie we dwa rzędy szyte; w ogóle trzy tuziny guzików. Jest to krój bardzo używany i słusznie, bo wygodny. Mimo to jednak niektóre z naszych prenumeratorek wymagają koniecznie zmiany i o krój któryby nie był ani paletotem, ani zuawką się dopytują. Jakże teraz powiedzieć że to moda jest niestałą i zmienną?.. Znajdzie ona wprawdzie na różne wymagania przybory, bo oto dla kobiet młodych którym się sprzykszyła zuawka, daje kaftaniczek hiszpański *senorita* którego już pismo nasze dostarczyło formę. Powtarzamy jeszcze że on z przodu nie dochodzi do pasa, ale zaokrągla się rozchodząc i tém samém odkrywa kamizelkę,

która może być z tegoż co suknia materjału, kaftaniczek zaś aksamitny naszywany pasmanterją ładnie wygląda, a kosztuje najmniéj 24 ruble. Inny znowu kaftanik do figury dość długi, z tyłu odcinany i przefałdowany w kilka fałdów, z przodu rozchodzący się jakby ustępując miejsca zwieszającéj się z tegoż samego materjału szarfie, ochrzczony został w Paryżu *garde français*, dla tego zapewne że szamerowaniami przypomina jakiś mundurek wojskowy. Z czarnego kaszmiru kosztuje 25 rubli aksamitny zaś 33. Jest więc wybór różnych okryć, tylko trzeba wyznać że się nie sprzedają za bezcen.

Suknie robią ciągle z gładkiemi na guzik spiętemi stanikami, a jest w nich jeszcze ta odmiana, że na ramionach nie krają się spadzisto, tylko krócéj, tak żeby szew rękawa na ramię zachodził, co niekoniecznie dla figury będzie korzystném, bo ją zwęży w ramionach. Dla tego nie chętnie się biorą u nas do téj zmiany kroju. Rękawy ani zbyt szerokie, ani wązkie, od łokcia ścięte, to téż o dawnych mankietach bufujących mowy być teraz nie może i robią się daleko węższe. Między sukniami przygotowanemi do świetnéj wyprawy, oglądałyśmy kilka następujących: suknia popielata z mory starożytnéj miała w około naszycie ze wstawki czarnéj blondynowéj, obszytéj po dwóch stronach blondynowemi brzeżkami; nad tym mglistym szlakiem trzy czarne aksamitki na palec szerokie, ciemniejsze znaczyły linje, a wszystko podnosiło się z jednego boku, aż do saméj góry spódnicy. Takież samo obszycie miały rękawy, stanik zaś tylko guziki. Na innéj sukni ułożonéj jak zwykle w podwójne a z tyłu i w potrójne kontrafałdy, były podłużne naszycia z czarnego aksamitu, ułożone w taki sposób, że na każdym fałdzie począwszy od paska, był taki aksamit niby krésa przeszło pół łokcia długa, węższa u góry, u dołu zaś trzy cale szeroka, zakończona jedwabną frendzelką. W tymże samym kierunku od dołu brytu szedł taki sam aksamitny, lecz krótszy, zaledwie ośm cali mający, równéj szerkości przeszło dwu calowéj, pas nie dochodzący zupełnie do brzegu spódnicy i także zakończony frendzelką. Trzecia suknia z czarnego *gros grain*, miała u dołu szeroki pas aksamitny po nad dwoma wąskiemi w rureczki ułożonemi falbankami. Nad tym pasem podłużne pasy węższe, aksamitne, umieszczone były w pewnych odległościach nie dochodząc do połowy długości spódnicy. Pomiędzy niemi mieściły się dwie podwójne aksamitne kokardy, zakończone wiszącemi ozdobami z pasmanterji. Na ramionach opasywały szew rękawa, opisywane w zeszłym poszycie wałki (bourrelets) z czarnego aksamitu.

Ubrania na głowę zdobią zwykle jéj wierzch i tył, zostawiając boki twarzy zupełnie odkryte, do tego więc stósownie czesać się trzeba. W sklepach perukarskich sprzedają po rublu rodzaje podkładek z fryzowanych włosów, osadzonych na grzebykach. Te się wpinają w środek nioba, który w ten sposób jedynie może być wysoko nad czołem podniesiony, zaledwie połowę skroni zakrywając; do tego można według upodobania karbować lub nie włosy, z tyłu zaś rozdzielić je na dwa warkocze, tak żeby każdy z nich tworzył pukiel pokazujący się po niżéj ucha. Niektóre strojnisie nie plotą warkocza, ale układają z niego jeden szeroki pukiel na kark spadający. Jednak poważniejsze kobiety wzdragają się naśladować taki układ włosów trochę pretensjonalny i wymagający regularnego owalu twarzy. Dla takich nioby nieco podłożone dłuższe tak żeby dochodziły do połowy ucha uważamy za najstosowniejsze, wtedy bowiem nawet ubranie wieńczące czoło nie będzie im dawało miny *czubatéj* a spadająca na tył głowy koronka, pokazując się za uszami stanowić będzie tło poważne dla twarzy. Tyle o nowém czesaniu, które jednak, wyznać musimy, niezmiernie przypada niektórym świeżym buziom dając im pewien wyraz dowcipnéj filuterności. Czesanie takie nie jest wcale naszych czasów nowością, lecz daje się widzieć na starych portretach, szczególniéj zaś loczki przejrzyste blondynek przypominają dawną podniesioną, pudrowaną fryzurę, którą częstokroć wieńczył diadem z drogich kamieni; teraz zaś niby w gniazdku mglistém, sadowią się poważnie pęki wstążek i koronek, a jeżeli jaki blask się przymiesza, to chyba z lawy posępnéj.

Obiecaną formę przyrządu do unoszenia sukien, odkładamy do Stycznia, nie mogąc jéj dać na tablicy z siatkami. Magazyn p. Reichla przygotował takie przyrządy po cenie dwóch rubli. Tamże między innemi przyborami bielizny i stroju rozłożono ubiór ranny wabiący oczy kobiéce wykwintną elegancją swoją. Składa się on ze spódnicy i krótkiego paletota półbatystowego białego. Deseń tworzący sute draperje, w pewnych odstępach niby przewiązane kokardami, wyszyty jest czarną tasiemeczką tak na spódnicy jako téż i na paletocie, trochę powyżéj brzegu. Paletot naokoło objęty czarnym sutaszem, ma zgrabniutkie kieszonki i klapki wykładające się na piersiach, a także wyszyte. Wprawdzie to śliczne ubranie przystępne, dla bogatszych kobiet tylko, bo ledwie przyznać się wam śmiemy, że lubo bez żadnych koronek jednak 280 złp. kosztuje, lecz kobiety nie mogące robić tak zbytkowych wydatków, a pragnące mieć coś ładnego w tym rodzaju, mogą wyszyć spódniczkę i paletot własnemi rękoma. Zacząwszy w zimie i robiąc codzień po kawałku, na wiosnę skończyć można. Przypominamy tylko że trzeba sparzyć tasiemeczkę.



Compte Calix — Préval — 1021

Moine Imp. r. St Louis en l'Ile, 90. Paris

KÓŁKO DOMOWE

Grudzień 1862


KÓŁKO DOMOWE
na Miesiąc Grudzień 1862 r.



